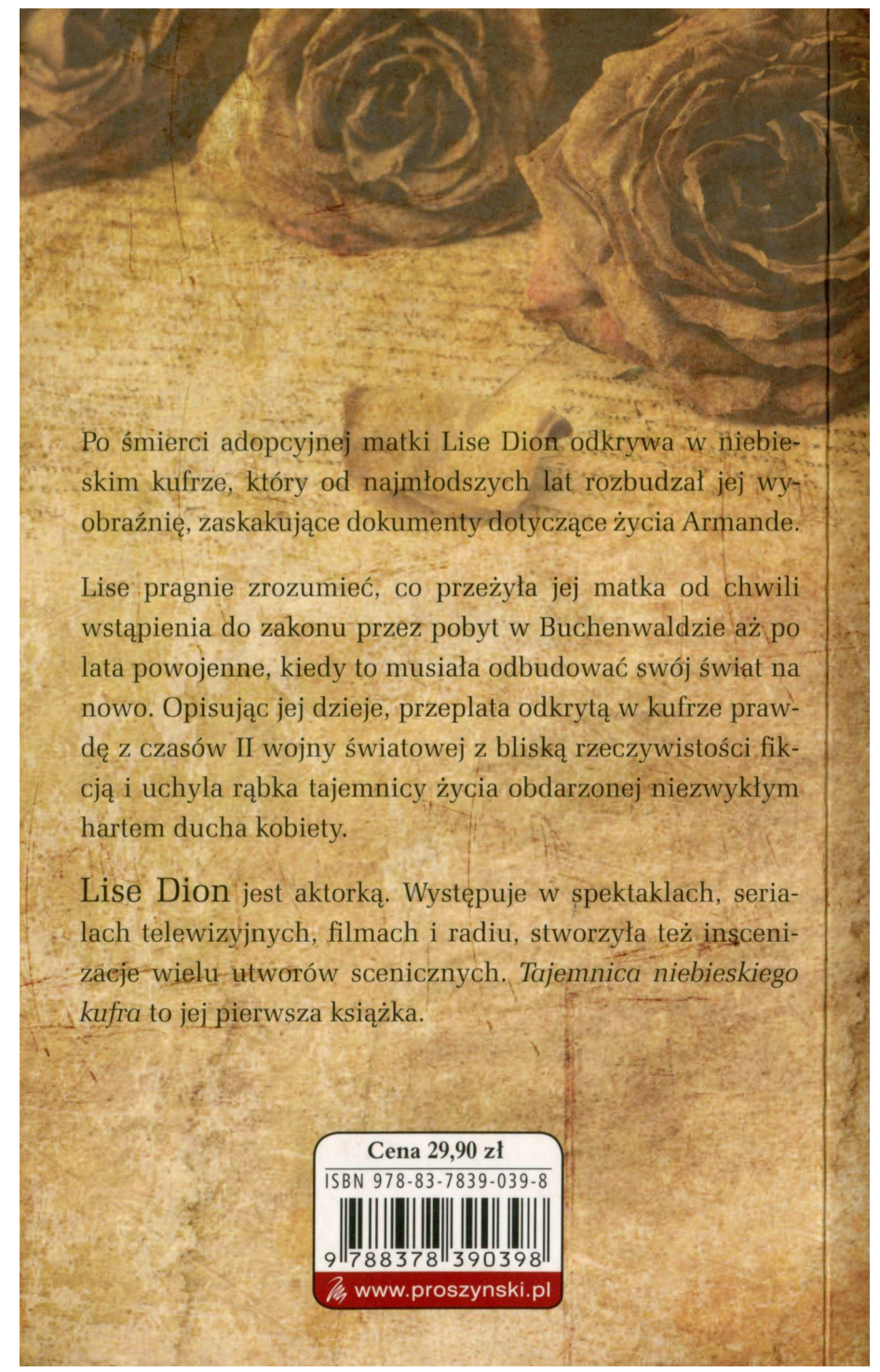
The book cover features a vintage aesthetic with several dried, brown roses scattered across a parchment-like background. In the center, a single, curled-up letter is visible. The text is printed in elegant, classic fonts. The author's name is in a black serif font, while the title is in a large, red, cursive script. The publisher's name is at the bottom in a smaller black serif font.

Lise Dion

*Tajemnica
niebieskiego
kufra*

Prószyński i S-ka



Po śmierci adopcyjnej matki Lise Dion odkrywa w niebieskim kufrze, który od najmłodszych lat rozbudzał jej wyobraźnię, zaskakujące dokumenty dotyczące życia Armande.

Lise pragnie zrozumieć, co przeżyła jej matka od chwili wstąpienia do zakonu przez pobyt w Buchenwaldzie aż po lata powojenne, kiedy to musiała odbudować swój świat na nowo. Opisując jej dzieje, przeplata odkrytą w kufrze prawdę z czasów II wojny światowej z bliską rzeczywistości fikcją i uchyla rąbka tajemnicy życia obdarzonej niezwykle hartem ducha kobiety.


Lise Dion jest aktorką. Występuje w spektaklach, serialach telewizyjnych, filmach i radiu, stworzyła też inscenizacje wielu utworów scenicznych. *Tajemnica niebieskiego kufra* to jej pierwsza książka.

Cena 29,90 zł

ISBN 978-83-7839-039-8



9 788378 390398

 www.proszynski.pl

Lise Dion

*Tajemnica
niebieskiego
kufra*

Przełożyła Hanna Abramowicz



Prószyński i S-ka

Dla dwojga cudownych wnuków ocalałej babci,
które odegrały ważną rolę w ocaleniu swojej matki.

Claudie i Hugo - żebyście zawsze pamiętali.

Nota autorki

Celowo zmieniłam nazwiska niektórych osób i nazwy miejsc - z szacunku dla tych wszystkich, którzy przeżyli to niewyobrażalne, makabryczne szaleństwo.

ODKRYCIE

Od dwóch dni próbowałam telefonicznie skontaktować się z mamą. Nie odbierała telefonu. Wiedziałam co prawda, że często wychodzi, ale i tak byłam mocno zaniepokojona. Zadzwoiłam więc do konsjerża z prośbą, żeby sprawdził, czy mama jest w domu. Chciałam mieć pewność. Odpowiedział mi: „Nie ma problemu. Oddzwonię do pani za piętnaście minut”.

Pół godziny później telefon ciągle milczał. Umierałam z niepokoju - jak matka, która nie może znaleźć swojego dziecka. Po czterdziestu minutach telefon w końcu zadzwonił. Konsjerż powiedział, żebym natychmiast przyjechała, ale ja chciałam się jeszcze dowiedzieć, czy mama dobrze się czuje, czy może jest chora. „Proszę natychmiast przyjechać!” - powtórzył z naciskiem.

Po drodze wyobrażałam sobie wszystko co najgorsze. Widziałam mamę, jak leży wyciągnięta na brzuchu na podłodze i z trudem próbuje sięgnąć

telefonu, żeby do mnie zadzwonić i poprosić o pomoc. Było mi niedobrze, serce podchodziło mi do gardła, bez przerwy płakałam i bardzo trudno było mi skoncentrować się na prowadzeniu samochodu. Kiedy zatrzymałam się przed budynkiem mamy, zobaczyłam krzątających się w pośpiechu policjantów i obsługę karetki. Od tego momentu niewiele pamiętam. Przypominam sobie, że konsjerż mocno mnie objął, żeby uniemożliwić mi wejście do domu. Tłumaczył z wielką delikatnością, że moja mama od wielu godzin nie żyje i że lepiej by było, gdybym jej w tym stanie nie oglądała.

Sąsiad z tego samego piętra, który dobrze znał mamę, zaprosił mnie do siebie, bym poczekała u niego na przyjazd ojca moich dzieci, który zaparuje nad sytuacją, bo ja byłam do tego zupełnie niezdolna. Potem przyszli policjant i ratownik medyczny, żeby mnie uspokoić. Wytłumaczyli mi, że mama zmarła na zator płucny i w chwili śmierci była nieprzytomna. Kiedy weszli do jej mieszkania, po prostu siedziała w fotelu. Nie miała więc czasu, by próbować do mnie zatelefonować, jak wyobrażałam to sobie w moim scenariuszu.

Te wyjaśnienia dodały mi otuchy. Powiedzieli mi też, że nic nie wskazuje na to, żeby mama przed śmiercią cierpiała. Odetchnęłam z ulgą. Ale kiedy dowiedziałam się, że zgon mógł nastąpić dwa dni

wcześniej, ogarnęło mnie ogromne poczucie winy. I pozostaje we mnie aż do dziś.

Po kilku godzinach ciało mamy zabrali pracownicy zakładu pogrzebowego. Dopiero w tym momencie zdecydowałam się wejść do jej mieszkania.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, była nocna koszula leżąca na podłodze w pobliżu fotela, w którym mama umarła. Cofnęłam się. To było ponad moje siły. Poprosiłam więc konsjerżę i męża, żeby usunęli wszystkie ślady mogące mi przypominać ostatnie chwile życia mamy. Kiedy w końcu weszłam do jej małego mieszkania, uderzyła mnie mocna woń rozkładu - bardzo szczególny zapach. Jeżeli nawet nigdy wcześniej się go nie poznało, coś od razu człowiekowi mówi, że to fetor śmierci. Przypomina woń pudru złej jakości, który przyprawia o mdłości, ale równocześnie zawiera w sobie nutę chłodu. Wydawało mi się, że nigdy nie uda mi się go pozbyć, gdyż momentalnie przeniknął moje nozdrza i ubranie. Gorsze jednak były panująca w mieszkaniu głucha cisza i ogromna pustka. W głowie miałam jedną myśl: pozbierać wszystkie niezbędne dokumenty i jak najszybciej opuścić to miejsce.

Kiedy teraz myślę o dniach spędzonych w zakładzie pogrzebowym, dochodzę do wniosku, że byłam wtedy w dziwnym stanie. Miałam tylko jedno pragnienie: usiąść na ziemi i wypłakać wszystkie

ły. Mimo to starałam się zachować spokój. Bez wątpienia bałam się, by moje spowodowane bólem zachowanie nie wydawało się przesadne, choć przecież każdy przeżywa żałobę na swój sposób.

Zanim zamknięto trumnę, chciałam się upewnić, że w tej ostatniej podróży mojej mamie niczego nie zabraknie. Uniósłszy atłas przykrywający jej ciało, sprawdziłam, czy na pewno włożono jej przyniesione przeze mnie wełniane skarpety. Bo mamie zawsze było zimno w stopy. Chciałam wręcz otulić ją ciepłym kocem, ale się powstrzymałam.

Dla mnie mama nadal żyła i nie docierało do mnie, że z jej ciała życie uszło na zawsze. Dlatego też upierałam się, żeby miała na nosie okulary, by mogła rozpoznać tych, którzy czekali na nią po drugiej stronie, jeśli ta druga strona w ogóle istnieje.

W jej ostatnim łóżku złożyłam z dziećmi najróżniejsze przedmioty. Dzieci podarowały jej rysunki i pełne czułości zdania, ja zaś napisałam długi list, w którym między innymi prosiłam ją, żeby od czasu do czasu dała mi znak. Zwłaszcza gdy będę potrzebowała jej rady. Ułożyliśmy też wokół niej kilka zdjęć Maurice'a, jej męża, a także fotografie z ich ślubu. Maurice był miłością jej życia i tak jak sobie życzyła, miała być pochowana razem z nim. Przy głowie umieściłam jeszcze zdjęcie jej brata Rosaire'a, którego również ogromnie kochała, i gałązki *Salix iona*, jej ulubionej rośliny z rodzaju wierzb,

którą mama nazywała ją po prostu swoimi małymi kotkami i z której każdego lata komponowała bukiety.

Razem z dziećmi chciałam, żeby zabrała z sobą wszystkie rzeczy, które były jej drogie. Jakby w ten sposób dało się opóźnić ostateczne zamknięcie trumny. Pracownik zakładu pogrzebowego nie wyglądał na zadowolonego z tych manewrów i dziwnie nam się przyglądał. Nie potrafiliśmy pogodzić się z tym, że mama odchodzi na zawsze.

Na cmentarzu zauważyłam, że na dnie grobu jest woda. Dostałam hysterii, zaczęłam krzyczeć, że trumna jest nieszczelna i woda może dostać się do środka. Poprosiłam nawet, żeby przed złożeniem trumny wodę wypompowano.

Grabarze, którzy widzieli już niejedno, nie wykonali najmniejszego ruchu i zmusili nas tylko do odejścia od dołu przed opuszczeniem trumny. Myślę, że nieźle przestraszyłam swoje dzieci. Miały wtedy jedenaście i trzynaście lat i nigdy w takim stanie mnie nie widziały.

*

Zaledwie dobę po pogrzebie mamy jej dawny konsjerż oświadczył mi, że powinnam pilnie opróżnić mieszkanie. „Opróżnić”, powiedział. Co za wulgarne i straszne słowo! Jakby nowy lokator się

niecierpliwiał i chciał jak najszybciej zająć jej miejsce. Jakby chciał dać mi do zrozumienia, że życie toczy się dalej i po prostu wystarczy jedna warstwa farby, żeby zatrzeć wszelki ślad po tej wspaniałej kobiecie.

Mało brakowało, a wykrzyczałabym mu: „Z całą pewnością nie znał jej pan zbyt dobrze, skoro nie opłakuje jej odejścia i pogania mnie, żebym wypędziła stamtąd jej duszę”. Kiedy przeżywamy głęboki smutek, życie codzienne innych staje się nie do zniesienia.

Zebrałam jednak w sobie resztki odwagi i w końcu mogłam otworzyć drzwi do jej mieszkania, choć gdyby towarzyszyli mi w tym bracia i siostry, byłoby to zapewne łatwiejsze. W wielodzietnych rodzinach często dochodzi do kłótni o kawałek szmatki niewymieniony w testamencie, ale i tak było mi przykro, że te dramatyczne momenty muszę przeżywać w samotności.

Kiedy weszłam do środka, zapach śmierci nadal był wyczuwalny, otworzyłam więc okna, żeby przewietrzyć pokoje. Wszystko było skostniałe, jak gdyby odejście mamy sprawiło, że czas się zatrzymał. Po pobieżnym obejrzeniu całego mieszkania zdałam sobie sprawę, że czeka mnie bardzo trudne zadanie: w ciągu kilku godzin musiałam na zawsze zatrzeć ślady jej obecności w domu, w którym mieszkała prawie osiem lat.

Zanim wzięłam się za pakowanie, usiadłam na łóżku. Byłam całkowicie bezradna. Głaskałam pościel, na której pozostawał jeszcze odcisk jej ciała, i zastanawiałam się, jak będę bez niej żyć. Miałam wprawdzie trzydzieści siedem lat, mimo to nadal byłam jej dzieckiem, dzieckiem pozbawionym nagle poczucia bezpieczeństwa, słów otuchy i zrozumienia uwielbianej mamy. Już nikt nigdy nie spojrzy na mnie tak, jakby czas się cofnął, i nie powie mi: „Gdy byłaś dzieckiem, uwielbiałaś robić to i tamto, a ojciec i ja bardzo cię kochaliśmy”. Już nigdy nie znajdę w jej ramionach schronienia.

Podczas moich odwiedzin, mama często gotowała, a ja miałam wrażenie, że wracam ze szkoły i znów jestem wolnym od odpowiedzialności dzieckiem. Nieważne, o jakich problemach jej mówiłam, zawsze znajdowała rozwiązanie. I choć oczywiście zdarzały się między nami kłótnie, to tylko po to, żebyśmy później mogły się pogodzić.

Z oczyma pełnymi łez przyglądałam się więc wszystkim zakamarkom. Nad komodą unosił się jeszcze zapach jej perfum. Otworzyłam buteleczkę i rozpyliłam ich troszkę, żeby doznanie zyskało na sile. „Będę ich używała z umiarem - powiedziałam do siebie. - Jedną kropelkę od czasu do czasu, w trakcie chandry, żeby się pocieszyć”. Na komodzie stał również jej kuferek na biżuterię, z beżowej skóry, ze złotymi motywami. Kiedy byłam mała,

całe godziny spędzałam na opróżnianiu go i bawieniu się ukrytymi w nim klejnotami. Najpierw uważnie je oglądałam jeden po drugim, a potem ostrożnie odkładałam z powrotem do welurowych przegródek. W jednym z kącików odkryłam schowane moje dwa mleczne ząbki. Nie mogłam się powstrzymać i wybuchnęłam płaczem. Na biurku ważne miejsce zajmowała fotografia ojca - patrzył na niej prosto w obiektyw, uśmiechając się czule, czym zawsze nas rozbrajał, i mamę, i mnie. Tato ciągle był obecny w życiu mamy, mimo że zmarła dwadzieścia siedem lat po nim. Często powtarzała, że już nigdy nie spotka podobnej miłości, dlatego też wolała zwyczajnie zostać sama.

Bardzo wczesnie uświadomiłam sobie, że moi rodzice tworzyli szczególną parę. Kiedy na przykład zbliżała się pora pójścia do łóżka, oboje stawali się nastolatkami. Nie było mowy, żebym mogła zakłócić tę ich intymność, a przecież próbowałam nieraz. Rodzice wyprzedzali swoją epokę. Mama, Armande, była starsza od taty o dziesięć lat, a poza tym żyli wiele lat bez ślubu, czego w tamtych czasach się nie robiło, a co było powodem rodzinnego skandalu.

Łączyła ich ogromna zażyłość i dużo z sobą rozmawiali, co także wtedy należało do rzadkości.

Tak bardzo bym chciała dowiedzieć się czegoś więcej o ich wielkiej miłości. Może wtedy

zrozumiałabym, dlaczego po śmierci taty mama tak bardzo się załamwała.

Nadal siedząc na jej łóżku, wyobrażałam sobie, jak wchodzi do pokoju, żeby jak co dzień po południu się zdrzemnąć. Jakże chciałabym położyć się obok niej i w czasie tego ostatniego odpoczynku ją objąć. Skorzystałabym z okazji i podziękowała jej za wielkoduszność i przede wszystkim wspaniałość - przecież zajęła się dzieckiem, którego nie urodziła.

Chciałabym jeszcze raz podziękować jej za te wszystkie godziny, kiedy pochylona nad maszyną do szycia wykańczała ubrania dla ludzi bogatszych od nas, nie mówiąc o sprzątaniu w prywatnych domach, czego jako zbyt szybko owdowiała kobieta musiała się podejmować, żeby jakoś powiązać koniec z końcem. I za te wszystkie dni, kiedy się dla mnie poświęcała. Ileż to razy oddawała mi połowę swojego posiłku, tłumacząc, że nie jest głodna, żebym tylko ja mogła się najeść do syta? Zaciskała pasa, aby na Boże Narodzenie zdobyć dla mnie prezenty. Pamiętam pierścionek, który mi podarowała. Kupiła go na kredyt i co tydzień płaciła za niego pięć dolarów. Nigdy się z nim nie rozstawałam i nosiłam go do momentu, aż się zużył.

Ale przede wszystkim chciałabym jej powiedzieć: „Mamo, nie bój się, jestem z tobą, zostanę przy tobie, aż zamkniesz oczy. Będę trzymała cię

za rękę do chwili, kiedy zobaczysz to obiecywane nam piękne światło, a dłoń tego, którego tak bardzo kochałaś, zastąpi moją...".

Nie byłam w stanie zabrać się za pakowanie. Mogłam jedynie płakać, tak bardzo byłam przygnębiona. W końcu jednak postanowiłam zacząć od kuchni. Już nie chciałam niczego opóźnić. Nie miałam zresztą czasu do stracenia, bo za kilka godzin mieli przyjść jej znajomi z dzielnicy, którym chciałam oddać należące do niej rzeczy, a z całą pewnością w tej sprawie mama by się ze mną zgodziła.

Zauważyłam leżącą na stole torebkę. Powoli wysypałam jej zawartość, jakbym pogodziła się w końcu z jej odejściem na zawsze. Ku mojemu zdumieniu wśród śmiechu i łez odnalazłam rzeczy należące do mnie - w ostatnich latach często padałam ofiarą drobnych kradzieży mamy. W jednej z kieszonek natrafiłam na srebrne kolczyki, które uważałam za zagubione, a także wisiorek z różnokolorowego szkła, który przykuwał jej uwagę, ilekroć miałam go na sobie. Przeglądając poukładane w szufladach ubrania, znalazłam też swój sweter, koszulę nocną, a nawet parę skarpetek. W portmonetce odkryłam stare zdjęcie zrobione podczas Expo '67, na którym widać mamę i mnie, dwunastoletnią, obie uśmiechnięte. Znowu się rozpłakałam. Mama śmiała się bardzo szczerze, bez wymuszenia, jak to się zdarza na oficjalnych fotografiach.

Mogę to stwierdzić jeszcze raz: łączyły nas dobre relacje, mimo że niekiedy mama chciała mnie wyłącznie dla siebie i bywało to powodem pewnego iskrzenia. Co dziwne, nasza wielka zażyłość zaczęła się właśnie w okresie mego dorastania, jakby była przejawem jej pragnienia posiadania mnie, zazdrości o czas spędzany z przyjaciółmi.

Mama miała też w sobie coś z tygrysy. Z łatwością wybuchała gniewem, gdy ktoś próbował mi dokuczyć. A kiedy było mi smutno, starała się zdobyć dla mnie gwiazdkę z nieba.

Pamiętam, że pewnego dnia, gdy już nie była w stanie znieść mojego płaczu z powodu nadwagi, zaproponowała zakup cudownego produktu, który miał mi pomóc w zrzuceniu kilogramów. Tyle że w Quebecu jego sprzedaż była nielegalna. Mama odłożyła jednak na bok swoje zasady, byle tylko mi pomóc. Była też bardzo pamiętliwa. Najbardziej ze wszystkiego bałam się jej wybuchów złości. Kiedy się na mnie gniewała, przez całe dni mogła nie odezwać się do mnie ani słowem. Nie znosiłam tego, bo po śmierci taty mieszkaliśmy same.

Zasadniczo jednak było nam z sobą dobrze. Stale coś zgłębiałyśmy, i to mama była inicjatorką większości wypraw. Na przykład zawsze w weekendy wybierałyśmy się na tereny wystawowe. Nie miałyśmy dużo pieniędzy, ale Montreal zjeżdżyłyśmy

autobusem i metrem ze wschodu na zachód i z północy na południe.

W niedzielę lądowałyśmy niekiedy na Dworcu Centralnym tylko po to, żeby poczuć atmosferę i obserwować podróżnych. Mama uwielbiała podróże, nie miałyśmy jednak pieniędzy na pociąg. Przyjeżdżałyśmy zatem na dworzec, aby marzyć.

Jako że mama była zakochana w kulturze francuskiej, zaznajomiła mnie z francuskim kinem. Zdarzało się, że opuszczałam lekcje, naturalnie za jej zgodą, gdy zabierała mnie do wielkich sklepów, takich jak Eaton, Morgan czy Dupuis Freres. Uczyła mnie elegancji i łączenia ubrań, co zawsze sama robiła ze smakiem. Instruowała też, jak rozpoznać perfumy dobrej jakości.

Dla niej brak pieniędzy wcale nie oznaczał nędznego wyglądu. Zawsze można było odpowiednio się ubrać i dobrze prezentować. Moja mama miała klasę. Uwielbiała szykowne stroje i w dobrym guście, biżuterię i wyszukane buty, ale ponieważ nie mogła ich sobie kupić, zadowalała się chodzeniem po sklepach. Bez skrępowania dotykała pięknych tkanin na manekinach, uważnie przyglądała się cięciom i szwom na ubraniach, które ją oczarowały, by później w domu narysować wykrój i samej je uszyć. Kiedy przymierzała wypatrzone przez siebie buty, defilowała przed sprzedawczynią z miną kobiety, która jeszcze nie podjęła decyzji. Tylko my

wiedziałyśmy, że ten zakup to kolejna iluzja. A potem wracałyśmy do domu - mama zachwycona tym, co widziała, szybko zapominała o tych wszystkich przedmiotach i wyglądała na zadowoloną z tego, co miała.

Pod koniec życia podczas tych naszych sklepowych eskapad zdarzało jej się bez mojej wiedzy wykraść jakiś drobny przedmiot. Pokazywała mi go już po wyjściu ze sklepu. Wyniosła tak na przykład okulary przeciwsłoneczne, lalkę Barbie dla mojej córki i inne drobiazgi, które nie były jej do niczego potrzebne. Kiedyś schowała w kieszeni śrubokręt tylko dlatego, że miał piękny uchwyt z niebieskiego plastiku. Nie wiedziałam, co powinnam była zrobić z osiemdziesięciolatką dopuszczającą się kradzieży w sklepach. Z pewnością należało wrócić do sklepu, poprosić o rozmowę z właścicielem, a potem zmusić mamę do oddania łupu. Tyle że ja nie chciałam za nią się wstydzić. Wolałam już zostać jej współniczką.

W kuchni leżało sporo chińskich opakowań po jedzeniu na wynos. Często bowiem chodziłyśmy coś zjeść do chińskiej dzielnicy. Dla mojej mamy był to *nec plus ultra*. Gdy jedna z jej przyjaciółek, bardziej zasobna niż ona, czasami zapraszała ją do restauracji, wtedy Armande również wybierała Chinatown. Było to dla nas święto; ubierałyśmy się staranniej niż zwykle. Do tej pory, kiedy

kosztuję dań chińskich, nie mogę przestać o niej myśleć.

Po opróżnieniu kuchni wróciłam do sypialni. Łkając, zaczęłam porządkować łóżko i po raz ostatni poczułam zapach jej pościeli.

Pozostał mi jeszcze duży niebieski kufer z zawartością. Tajemniczy, nietykalny niebieski kufer, który intrygował mnie od dziecka. Zawsze był zamknięty na klucz i nigdy nie zdobyłam się nawet na tyle odwagi, żeby wyobrazić sobie sankcje, jakie mi groziły za zajrzenie do niego do środka.

Pełna obaw powoli zbliżyłam się do skrzyni z kluczem znalezionym na dnie torebki; był schowany w małej sakiewce z weluru razem z figurką Marii Panny. Miałam wrażenie, że zaraz usłyszę, jak mama mnie karci. Mimo to powoli uniosłam pokrywę. W głębokiej ciszy nie padła żadna reprimenda, a ja natychmiast poczułam zapach naftaliny - bez wątpienia najlepszy sposób na to, by z mojej sukienki od chrztu mole nie zrobiły sera szwajcarskiego.

W kufrze znajdowały się pudełka z pamiątkami z mojego dzieciństwa, wiele fotografii, a wśród nich zdjęcia taty z obozu wojskowego. Nie wiedziałam, że służył w armii. Były też zdjęcia mamy zrobione przez tatę: stojącej obok statku czy siedzącej na kądłubie samolotu albo opartej o samochód i palącej papierosa. Wyrażały jego ogromną miłość do niej

i były kolejnym dowodem ich oczywistej bliskości, zwłaszcza gdy patrzyła prosto w obiektyw.

Było też kilka pamiątek z mojego pobytu w sierocińcu. Na jednym zdjęciu widać mnie, jak uśmiecham się do pielęgniarki, która patrzy na mnie z czułością. Tę fotografię na pewno zrobiono w dniu, w którym Armande i Maurice przyjechali po mnie. Potem znalazłam również oficjalne dokumenty dotyczące mojej adopcji. Nigdy przedtem ich nie widziałam. Zawierają datę mojego wyjazdu ze żłobka w Youville - w kwietniu 1956 roku, siedem miesięcy po narodzinach. Wiedziałam, że byłam adoptowana, ale nie przypuszczałam, że aż tyle czasu spędziłam w ośrodku.

Na dnie kufra leżało jeszcze średniej wielkości czarne pudełko ze świętymi obrazkami, etui z wuluru z czarnym różańcem, dosyć już zniszczonym, nadwyręzoną książeczką do nabożeństwa w tym samym kolorze, medalikami z postaciami różnych świętych, między innymi Krzysztofa i Józefa, a także sporą liczbą figurek Marii Panny. Na dnie była fotografia mamy z bratem Rosaire'em. Mama stała w stroju zakonnicy! Nie wierzyłam własnym oczom, ale to przecież była ona. Poznałam ją mimo młodego wieku! Z całą pewnością to właśnie była jej wielka tajemnica... Pudełko jednak zawierało więcej sekretów. Napisane po niemiecku pożółkłe już dokumenty świadczyły o jej aresztowaniu. Nie

mogłam nic z tego zrozumieć. Na jednym z papierów moją mamę wzywa się do posłusznego wykonywania rozkazów pod groźbą kary śmierci.

W kilka sekund zostałam przeniesiona do innej rzeczywistości - rzeczywistości drugiej wojny światowej. W głowie kłębiły mi się przeróżne pytania. Jak to się stało, że mama zaangażowała się w ten konflikt? Aż do teraz sądziłam, że jej życie było w sumie dosyć spokojne.

Jak wszyscy, słyszałam o tej nieludzkiej wojnie, wiedziałam o popełnionych okrucieństwach, ale wplątanie w te wydarzenia mojej matki było dla mnie bulwersujące. Miałyby być ich ofiarą? Dokumenty jednak mówiły wyraźnie o Armande Martel, mojej matce adopcyjnej. Świadczyły o tym, że została przez Niemców aresztowana w Rennes, w Bretanii... Czy była więc Żydówką? Co tam robiła? Według jej świadectwa chrztu urodziła się w Chicoutimi 6 kwietnia 1912 roku.

Na szczęście w pudełku znajdowały się jeszcze inne dokumenty, które mogły dać mi odpowiedź na pytania dotyczące jej pobytu w Europie. Nie spodziewanie mama stała się dla mnie prawdziwą bohaterką, centralną postacią tego konfliktu. Już ją widziałam jako zbuntowaną więźniarkę, która nie wiadomo w jaki sposób wstąpiła do ruchu oporu i została kombatantką. I wiedziałam, że jej charakter pozwoliłby jej ujsć z tej z wojny cało.

Na dnie kufrą odkryłam jeszcze jedną rzecz: dużą kopertę zawierającą pięć oprawionych w karton i powiązanych białą wstążeczką, też nieco już pożółkłą pod wpływem czasu, zeszytów. Na wszystkich widniał ten sam tytuł napisany jej ręką: *Żebym zawsze pamiętała.*

Mama dołączyła do nich adresowany do mnie list:

Moja Lison,

Jeżeli trzymasz ten list w dłoniach, znaczy to, że mnie już tu nie ma, bo za mojego życia nie miałaś prawa dotykać niebieskiego kufrą. Z pewnością otworzyłaś pudełko, które położyłam na kopercie z zeszytami, i znalazłaś dwa paszporty bez zdjęć. To ja oderwałam fotografie, żeby utrudnić ci odkrycie pewnych spraw.

Przed twoim ojcem również trzymałam w tajemnicy część mojego życia, przede wszystkim lata spędzone w zakonie. Ale kiedy umarł, postanowiłam opisać ci moje dzieje, żebyś po mojej śmierci wiedziała, jak wyglądało moje życie. Przekazuję ci zatem te tajemnice, które pozwolą ci - mam nadzieję - lepiej mnie zrozumieć.

Nie wiem, skąd wzięłam siły, żeby przeżyć to wszystko, o czym opowiadam ci na tych stronicach...

Chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham, i życzę ci, żebyś dała sobie radę w tym tak trudnym niekiedy

*życiu. Korzystaj ze wszystkich okazji do szczęścia!
Jest to moje największe życzenie.*

*Kiedy będziesz czytała moje zapiski, nie opłakuj
mojej przeszłości - ja już to zrobiłam. Moja Lison,
nadał będę nad tobą czuwała.*

Mama

Byłam oszołomiona i już przed rozpoczęciem lektury tych zeszytów wiedziałam, że mama przekazała mi wyjątkową historię. To szczęśliwe odkrycie zapewniło mi spokój wewnętrzny i energię konieczną do zakończenia misji, którą sobie wyznaczyłam: rozdzielenia tego, co mama posiadała. Wreszcie mogłam opatrzeć jej życie słowem „koniec”. Ale jej drugie życie, to pełne tajemnic, zabierałam z sobą w niebieskim kufrze. I to właśnie ono stanowiło bezcenny skarb, który z niecierpliwością chciałam poznać.

*

Przetransportowałam do siebie duży niebieski metalowy kufer z narożnikami z mosiądzu i ustawiłam go w sypialni. Przy moim łóżku prezentował się niezwykle godnie. Wiedziałam, że już mnie nie opuści, bo zawiera istotę życia mojej mamy, którą zaczynałam dopiero odkrywać.

Jeszcze tego samego wieczoru zabrałam się za lekturę zeszytów. Odłączyłam wszystko, co

mogło zadzwonić, zaciągnęłam zasłony i zamknęłam drzwi na klucz. Działam w pośpiechu, nawet nie starając się o stworzenie szczególnej atmosfery sprzyjającej lekturze. Pozostałam w tym zamknięciu przez dwa dni.

Gdy otwierałam kufer, na myśl o tym, co odkryję w zeszytach mamy, dostałam prawdziwych zawrotów głowy. Przygotowywałam się na niezapomniane doświadczenie. Zawsze uważałam mamę za zwyczajną kobietę, która skromnie żyła i pracowała i co wieczór wracała do domu wyczerpana dniem. Sądziłam, że jej życie było nudną rutyną. A jeśli zdarzało mi się zadawać pytania na temat przeszłości, zawsze znajdowała tysiące sposobów, żeby się od nich wymigać. Teraz zaś wiedziałam już, że miała pewne sprawy do ukrycia...

*

Ponieważ mama mnie do tego nakłoniła, chciałabym, żeby jej niewiarygodne dzieje stały się znane szerszej publiczności. Dzięki swoim zeszytom Armande będzie naszym przewodnikiem.

Ciekawej lektury! Spotkamy się później.

ZESZYT PIERWSZY

DZIECIŃSTWO

Dla mojej Lison

Od kiedy tylko pamiętam, zawsze pisałam dziennik. Pisanie dodawało mi otuchy, pozwalało wyrazić zarówno radość, jak i gniew. Było też powodem mojej zguby, dlatego że nie potrafiłam przestać opisywać tego, co działo się wokół mnie.

Zacznijmy od początku, od dziadków. Mój ojciec, Onésime Martel, był synem rolnika. Mieszkał w parafii Saint-Wilbrod w Hébertville-Station, nad jeziorem Lac-Saint-Jean, i w czerwcu 1908 roku ożenił się z wiejską nauczycielką, moją mamą, Virginie Martel. Rok później oboje zamieszkali w dzielnicy Bassin, w Chicoutimi, mieście typowo robotniczym, gdzie nad rzeką zbudowano dwie fabryki produkujące makarony i papier, które stały się największymi ośrodkami przemysłowymi Saguenay.

Mój ojciec dostał pracę w jednej z tych fabryk. Trzeba przyznać, że placów budowy było tam

w bród. Korporacje stawiały domy dla zatrudnianych przez nie ludzi, żeby mogli w nich mieszkać razem z rodzinami. Moi rodzice wynajmowali jedno z takich mieszkań. Były to drewniane domki wznoszone według jednego wzoru i żeby móc rozpoznać nasz dom, moja mama postawiła na ganku drewnianą skrzynkę pomalowaną na niebiesko.

Urodziłam się w parafii Sacré-Cœur 6 kwietnia 1912 roku, trzy lata po przyjściu na świat mojego brata Armanda, pierwszego dziecka w rodzinie, które przeżyło tylko kilka miesięcy. Nie wiem, co było przyczyną jego przedwczesnej śmierci, ale rozpacz mamy musiała być ogromna, bo dała mi na imię Armande. Potem urodziło się jeszcze trzecie dziecko, mój brat Rosaire, i wkrótce dziewczynka, która też dosyć szybko zmarła. Następnie w 1918 roku przyszedł na świat kolejny brat, Louis-Georges. Kilka miesięcy po jego urodzeniu mama umarła na hiszpańską grypę. Miała trzydzieści trzy lata, ja miałam sześć. Pamiętam, że jej stan zdrowia pogorszył się w ciągu kilku godzin. W jednym momencie wyglądała tak, jakby była w doskonałej formie, a już po chwili leżała w łóżku pokryta dużymi kroplami potu, kasłała i nie była w stanie normalnie oddychać. Zmarła dwa dni później.

Mój ojciec się załamał. Dużo płakał. Można nawet powiedzieć, że o nas zapomniał, tak bardzo był

zrozpaczony. Jego jedyną troską było to, żebyśmy z powodu epidemii nie wychodzili bawić się na dworze. Ponieważ sądzono, że wszyscy są zarażeni, siedzieliśmy w czterech ścianach.

Pamiętam, jak naszych sąsiadów wynoszono na noszach. Wszystkich członków tej rodziny zabrano w ten sposób do szpitala i potem już nikt nigdy ich nie zobaczył. Ludzie zakrywali sobie twarze maseczkami, a my byliśmy bardzo przestraszeni. Pamiętam, że moi bracia Rosaire i Louis-Georges bez przerwy płakali.

Naszą rodziną zajęła się siostra taty, Alice. Ojciec przezywał ją Wrona, bo miała bardzo czarne włosy. Poza tym wyglądała bardzo groźnie i napawała mnie strachem.

Kiedy do nas przyjechała, bardzo się bała, że się zarazi, dlatego nosiła na twarzy kawałek tkaniny i dotykała tylko niemowlęcia. Prawie zawsze była w złym humorze i cierpiała na chroniczną niecierpliwość. Dawała też nam odczuć, że jesteśmy dla niej ciężarem. Nie ma potrzeby wyjaśniać, dlaczego jej nie lubiłam.

Byłam głęboko zasmucona śmiercią mamy i dużo płakałam. Ciotka Alice w ogóle nie dodawała mi otuchy. Nigdy nie wzięła mnie w objęcia, żeby mnie pocieszyć. Brakowało mi pieśczoć mamy, dla której byłam upragnionym dzieckiem, tym, które przeżyło, jej oczkiem w głowie.

Pewnego wieczoru, po kolacji Alice oświadczyła swojemu bratu, że już nie ma siły nas wychowywać, bo przecież ma troje własnych dzieci. Zgodziła się wziąć do siebie moich braci, ponieważ jej dwie córki, od nich starsze, mogły się chłopcami zajmować, ale absolutnie nie mogły się zajmować mną. Ojciec nie wiedział, co począć. Nikt inny nie mógł się nami zaopiekować. I wtedy Alice zasugerowała tacie, żeby umieścić mnie w sierocińcu prowadzonym przez zakon augustianek od Miłosierdzia Jezusa. Dała mu tydzień na podjęcie decyzji.

Miałam zaledwie sześć lat, nie mogłam zatem zajmować się braćmi. Ciotka próbowała mnie nauczyć, jak prowadzi się dom, ale byłam zdecydowanie za mała na to, żeby przygotowywać posiłki i zajmować się dziećmi, w czasie kiedy tata był w pracy. Umiałam jedynie uspokajać płaczącego najmłodszego brata, żeby tylko Alice się nie zdenerwowała.

Ojciec pracował sześć dni w tygodniu; prawie go nie widywaliśmy. Kiedy wracał wieczorem do domu, my już spaliśmy. To właśnie wtedy zaczął pić.

Co miało nadejść, nadeszło. Kilka dni po tym, jak Alice wspomniała tacie o sierocińcu, obudziła mnie wcześniej niż zwykle, pozwalając braciom nadal spać. Wykąpała mnie, umyła mi włosy, potem ubrała w czyste ubrania. Podczas całej tej krzątani-ny mówiła do mnie głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji. Poinformowała mnie, że przez jakiś

czas będę musiała mieszkać gdzie indziej i że od tej pory będą się mną zajmowały zakonnice. „Te kobiety - powiedziała - są żonami Jezuska, tego samego, do którego modlisz się co wieczór za swoją mamę. One zajmują się ludźmi chorymi i dziećmi, które straciły rodziców. Będiesz tam normalnie chodziła do szkoły, ale wieczorem będziesz zostawała na noc i dzięki temu rano będziesz mogła wcześniej być w klasie”.

Szczegółowo opisała mi życie w klasztorze, zachwalając dobre posiłki i koleżanki, jakie tam na pewno poznam. Żeby uwolnić się od wyrzutów sumienia, próbowała nawet mnie przekonać, że powinnam uważać się za szczęściarę, bo zyskam dzięki temu nowe życie i będę mogła się uczyć, a przecież - podkreślała - nawet jej dzieci nie mają takich możliwości.

Pamiętam jednak, że ten pomysł wcale mnie podniecił. Przede wszystkim nic nie rozumiałam z tego, co mi opowiadała, bo nigdy w życiu nie widziałam zakonnicy. Jezus był dla mnie tylko brodatym mężczyzną z obrazka wiszącego na ścianie w kuchni, przed którym mama kazała nam co wieczór klękać, nigdy tak naprawdę nie tłumacząc po co. O szkole też nic nie wiedziałam, bo nikt z mojego otoczenia nigdy do niej nie chodził. Poza tym w słowach Alice wyczułam jakiś fałsz, gdyż w trakcie tych długich wyjaśnień ani razu nie spojrzała

mi w oczy. Pod koniec śniadania przyszedł po mnie tata i zabrał mnie do sierocińca. I chociaż usłyszałam, że to rozwiązanie tymczasowe, już nigdy nie postawiłam nogi ani w domu Alice, ani w moim.

Kiedy zobaczyłam ogromny szary budynek, ogarnęło mnie takie przerażenie, że ojciec musiał wziąć mnie na ręce, bo nie byłam w stanie zrobić ani jednego kroku. Chwyciłam się jego szyi tak mocno, że ledwie mógł oddychać, i myślałam, że dzięki temu nikt nie wyrwie mnie z jego ramion. Czułam, że dzieje się coś ważnego.

Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła mnie po wejściu do tego wielkiego budynku, był zapach pasty i środka dezynfekującego, od którego mnie zemdliło. Od razu zaprowadzono nas do jakiegoś gabinetu na spotkanie z matką przełożoną, gdzie tata starał się wytłumaczyć, dlaczego zdecydował się oddać mnie do tej instytucji, a ja z jego słów zrozumiałam tyle, że moja ciotka mnie nie chciała. Po raz kolejny przekonałam się, że Alice mnie nie cierpiała. Ogarnął mnie głęboki smutek, ale przede wszystkim bezgraniczne poczucie opuszczenia.

Kiedy tata wstał, żeby uścisnąć dłoń przełożonej, zaczęłam wrzeszczeć i całe śniadanie zwymiotowałam na podłogę. Tata wytarł mi buzię chusteczką, a potem na pożegnanie chciał mnie pocałować, ale rzuciłam się na podłogę i uczepiłam jego nogi. Nie mógł zrobić kroku, a ja postanowiłam za nic

w świecie nie zwalniać uścisku. Wtedy matka przełożona poruszyła dzwonkiem i ukazała się siostra Marguerite, która pomogła tacie uwolnić się z moich objęć, spokojnie do mnie mówiąc i głaszcząc mnie po głowie. Krzyczałam z rozpaczą i tata też płakał. Ale w końcu wyszedł, nie spojrzawszy ani razu za siebie.

Siostra Marguerite zabrała mnie do małego parlatorium, żeby moje wrzaski nie poruszyły całego piętra. I podczas gdy ja nadal tarzałam się po podłodze, na klęczkach głaskała mnie łagodnie po włosach i już wtedy zorientowała się zapewne, że mam niezły charakterek.

Po kilku minutach udało jej się w końcu mnie uspokoić. Od śmierci mamy wobec nikogo nie byłam tak ufna. Dałam się jej kołysać w ramionach, dopóki mój ból się nie zmniejszył. A potem moja nowa przyjaciółka oprowadziła mnie po zakonie. Bardzo mocno trzymałam ją za rękę. Szczególne wrażenie zrobiły na mnie wysokie sufity, a drzwi z lakierowanego drewna i bez szyb wydawały mi się nie do przebycia.

Po jakimś czasie stanęłyśmy przed kolejnymi ogromnymi drzwiami, które zakonnica otworzyła. Widok, jaki mi się ukazał, sprawił, że cała zdrętwiałam. Na białej ścianie wisiał olbrzymi krucyfiks, a przed nim stało trzydzieści małych białych metalowych łóżek. Obok każdego z nich umieszczono

krzesło i miskę do mycia. W głębi sali, za białą zasłoną dostrzegłam też wąskie pomieszczenie z większym łóżkiem dla wychowawczynie.

Siostra Marguerite wiedziała, że znalazłam się tu, bo straciłam wcześniej mamę, i najwidoczniej chcąc mnie pocieszyć, wyjęła z szafy starą lalkę, należącą zapewne dawniej do jakiejś pensjonariuszki, i dała mi ją, by ukoić w ten sposób moją samotność. Wytłumaczyła mi przy tym, że moja mama jest teraz w niebie, a ta lalka będzie ze mną spała, żebym aż tak bardzo się nie smuciła.

Ścisnęłam zabawkę w ramionach, jak gdyby to był najcenniejszy przedmiot w moim życiu. A potem położyłam ją razem z moim pakunkiem pod łóżkiem, które siostra mi wskazała, i poszłyśmy dalej zwiedzać zakon.

Posłusznie wykonywałam polecenia tej kobiety, która tak szybko zdobyła moje zaufanie i tak dziwnie hałasowała, idąc, swoją długą czarną suknią.

Wezwanie na południowy posiłek rozpoczęło mój dwudziestoletni pobyt w tym miejscu i stało się zapowiedzią mającej tyle trwać nudnej rutyny.

Codziennie o godzinie 5.30 budził nas dzwon, po którym musiałyśmy natychmiast w milczeniu - i na bosaka, choć podłoga była lodowata - pośłać łóżko. Następnie ubierałyśmy się w czarne stroje z białymi kołnierzykami i jeszcze przed poranną toaletą klękałyśmy przy swoich miejscach, by się

pomodlić. Ja często korzystałam ze stojącego pod łóżkiem nocnika, bo nie mogłam wytrzymać, a wtedy wszystkie dziewczynki mogły mnie zobaczyć, a przede wszystkim usłyszeć hałas, jaki przy tym robiłam. Nie muszę dodawać, że ich szyderstwa były dla mnie bardzo upokarzające, choć zawsze dyżurna zakonnica przywoływała je do porządku: „Panienci, cisza! I pospieszcie się!”. Tyle razy słyszałam to zdanie, że po kilku miesiącach w ogóle przestałam na nie zwracać uwagę.

Potem ze swoimi fajansowymi miednicami szłyśmy do pomieszczenia znajdującego się na końcu sypialni, by odbyć tam poranną toaletę. Myłyśmy się tylko do połowy, gdyż zdejmowanie kaftanika było zabronione. Przecierałyśmy więc ciało myjką, nie patrząc na koleżanki, a lodowaty kaftanik sechł potem na cieple przez dobrą godzinę.

Następnie uczestniczyłyśmy we mszy i przyjmowałyśmy komunię, a potem miałyśmy prawo do śniadania, składającego się z zimnej i kleistej kaszki. Po nim zaczynały się lekcje. Dotykanie książek i patrzenie na obrazki, a także odkrywanie liczb czy używanie ołówka - to wszystko było dla mnie nowe i zajmujące. Rzadko więc w trakcie tych zajęć byłam smutna, a czas mijał mi tak szybko, że nawet nie miałam okazji, by myśleć o czymś innym.

Przed wieczornym posiłkiem uczyłyśmy się w ciszy. A podczas kolacji, która prawie zawsze

składała się z przecieranej zupy jarzynowej i pół kromki chleba, jedna z sióstr czytała nam fragmenty Biblii. Potem uczestniczyłyśmy w nieszpórach i - jak wszystkie zakonnice - kładłyśmy się spać o 19.30.

Z czasem zakon stał się dla mnie dającym poczucie bezpieczeństwa kokonem, a religijna wspólnota - rodziną. Choć na początku trudno mi było poddać się dyscyplinie. Moja dusza się buntowała i nie zawsze robiłam to, czego ode mnie oczekiwano. Często domagałam się wytłumaczenia, dlaczego to właśnie ja mam wykonać taką czy inną pracę. I wtedy z odsieczą przychodziła siostra Marguerite, która próbowała mnie uspokoić. Tak bardzo nie chciałam jej zawieść, że już samo brzmienie jej imienia przywoływało mnie do porządku. W sumie jednak byłam dobrą uczennicą, pojętną i chętną do nauki...

W zakonie znalazłam też dobre przyjaciółki, które po osiągnięciu wieku młodzieńczego często wracały do swych domów, by pomagać rodzinom. Za każdym razem, gdy jedna z nich wyjeżdżała, moje serce krwawiło - nie potrafiłam bowiem przestać myśleć o mojej rodzinie. Ojciec odwiedził mnie w klasztorze tylko raz, a spotkanie z nim trwało najwyżej piętnaście minut. Przekazał mi nowiny o braciach, a w jego oddechu od razu wyczułam alkohol. Miałam wtedy dwanaście lat i pamiętam

swoją złość na niego o to, że jest słaby. Wyrzucałam mu, że nie potrafi się wziąć w garść ani przeciwstawić ciotce. I że tylko ja nie mogłam zostać razem z rodziną.

Była to dla mnie tak wielka niesprawiedliwość, że w końcu zabroniłam mu kolejnych odwiedzin, by nie otwierał tej bolesnej rany, o której nie potrafiłam zapomnieć. Jedyne siostra Marguerite wysłuchiwała moich żalów i dopóty tłumaczyła mi wszystko, dopóki - ukojona - nie usnęłam.

Moje lata młodości można więc uznać za spokojne. Robiłam wszystko, co mi kazano, i to na sposób zakonnice, to znaczy starannie i perfekcyjnie. Uczyłam się bardzo szybko i bez problemu opanowałam wszelkie prace domowe. Ale przede wszystkim uzdolniona byłam w krawiectwie, i to ono stało się moją pasją. To ja naprawiałam ubrania, które później rozdawano ludziom z parafii. Szyłam, obrębiałam i nanosiłam różne poprawki. Często marzyłam też o tym, żeby wybrać jakiś krój i uszyć według niego suknię. Już wtedy wiedziałam, że szycie będzie stanowiło część mojego życia. Zresztą zakonnice często mi powtarzały, że jestem lepsza w pracach ręcznych niż w przedmiotach szkolnych.

Kiedy miałam szesnaście lat, czyli w roku 1928, w moim życiu zaszła ważna zmiana - poznałam siostrę Adolphine. Nasz zakon od 1903 roku

wspierał ojców eudystów, którzy z powodu niepewnej sytuacji kongregacji religijnych we Francji postanowili opuścić ten kraj i przybyli do Kanady, gdzie w Chicoutimi za zgodą biskupa objęli prowadzenie parafii Sacre-Coeur. Jeden z nich przywiózł z sobą z Rennes trzy członkinie zgromadzenia Sióstr Oczyszczenia Najświętszej Marii Panny: siostrę Wenseslas, siostrę Romualdę i właśnie siostrę Adolphine, która stała się drugą obok siostry Marguerite moją powierniczką i mentorem. Nieprzerwanie dodawała mi odwagi, podnosiła na duchu, a w razie potrzeby łagodziła moje udręki.

Chcę wierzyć, że nasze spotkanie nie było przypadkowe i że została ona wybrana, by towarzyszyć mi w drugiej części mojego życia. Siostra Adolphine szybko odkryła moje zdolności krawieckie i zachęcała mnie, żebym je rozwijała. Uczyła mnie wykroju i szycia, a ja po raz pierwszy byłam naprawdę szczęśliwa. Jej bretoński akcent, który próbowałam nawet naśladować, co tylko ją rozśmieszało, przydał nowego smaku mojemu życiu. Fascynowała mnie odległość, jaką pokonała, żeby do nas przyjechać.

Często pytałam ją o jej kraj. I choć pewnie czasami nawet się naprzykrzałam, jej odpowiedzi były zawsze wyczerpujące i wzbudzały we mnie chęć podróży. To pragnienie było dla mnie czymś zupełnie nowym. Mimo że dzięki umiejętności

czytania odkrywałam nowe horyzonty, nigdy wcześniej nie przyszła mi do głowy myśl o jakimkolwiek wyjeździe. Ale rozmowy z przybyłą z daleka zakonnicą wzbudziły we mnie chęć do podróżowania poza dobrze znane mi otoczenie. Zwłaszcza że mój pobyt w klasztorze miał się niebawem skończyć.

Co prawda augustianki nie pokazywały mi drzwi, ale naciskały, żebym pomyślała o przyszłości. Biorąc pod uwagę wszystko, co dla mnie zrobiły, sugerowały, że dobrze by było, gdybym zwróciła dług zgromadzeniu, wstępując w ich szeregi. W wieku siedemnastu lat powiedziałam więc siostrze Adolphine o moim pragnieniu pozostania członkinią jej kongregacji, okazując jej w ten sposób całe moje uwielbienie.

Zakonnica była zachwycona, ale chciała, żebym doświadczyła najpierw obligatoryjnego dla nowicjuszek pobytu w odosobnieniu, podczas którego miałam się dobrze zastanowić nad tym, czy naprawdę czuję Boże powołanie. Zasugerowała mi kilka kwestii do przemyślenia, jak odmówienie sobie radości macierzyństwa. Powinnam też zadać sobie pytanie, czy moja miłość do Boga jest na tyle wielka, że pogodzę się ze wszystkimi związanymi z tą decyzją rozdarciem i nie będę jej żałowała przez resztę życia. „Bo żałować będziesz - powiedziała. - Pędzej czy później”. Czy dostatecznie prosiłam Boga, żeby prowadził mnie drogą, którą uważam

za swoją? Czy jestem gotowa dać dowód ducha pokory i wycofania i przez cały czas słać Boga? Mówiąc krótko: czy rzeczywiście jestem przygotowana do życia w tak surowych warunkach?

Byłam zdecydowanie za młoda, żeby zdawać sobie sprawę z tego, co taka decyzja z sobą niesie. Poza tym pytania te wydawały mi się abstrakcyjne. Ponieważ znałam tylko życie zakonne, powołanie uważałam za zawód, który pozwoli mi rozwinąć moje talenty krawieckie i umożliwi pozostanie we wspólnocie.

Ażeby nabrać pewności, zapytałam jednak siostrę Adolphine, co dokładnie się czuje, kiedy wierzy się w swoje powołanie. Odpowiedziała, że będę wiedziała, jeżeli zostałam do tego przeznaczona, choć być może to wezwanie jeszcze jest we mnie przytłumione, dodała. Wytłumaczyła mi też, że wstąpienie do jej kongregacji wiąże się z pewnymi warunkami. Przede wszystkim należy wnieść do zakonu posag, tak jak kobieta wychodząca za mąż. W roku 1929 mogło to być 750 dolarów, choć nigdy nie odrzucono żadnej kandydatki z powodu braku pieniędzy. Następnie musiałabym zgodzić się na odbycie nowicjatu w domu macierzystym kongregacji, w Bretanii. I jeśli nawet nie miałam pieniędzy na posag, to musiałam je mieć przynajmniej na tę podróż.

Byłam zrozpaczona, bo nie spodziewałam się, że wstąpienie do zakonu jest tak skomplikowane.

Widząc moje przerażenie, siostra Adolphine po raz kolejny przyszła mi z pomocą. Jeżeli moje pragnienie jest szczere, powiedziała, to być może znajdzie się jakieś rozwiązanie, i umówiła się na spotkanie z jednym z wikarych z parafii. Ten postawił na nogi Stowarzyszenie Świętej Marty, wspierające dziewczęta w potrzebie, które natychmiast zajęło się zebraniem dla mnie koniecznych funduszy. Trzy miesiące później otrzymałam 175 dolarów, co i tak było wyczynem, jeżeli weźmie się pod uwagę, że były to czasy kryzysu. Wśród moich dobroczyńców figurowało nazwisko bardzo zamożnego małżeństwa z Chicoutimi, a zebrana przez członkinie stowarzyszenia kwota pozwalała mi opłacić podróż. 27 dolarów kosztował bilet na statek, kilka dolarów przeznaczyłam na dodatkowe przejazdy i wydatki osobiste, a resztę oddałam wspólnocie.

Nigdy nie przypuszczałam, nawet w marzeniach, że to się uda. Naprawdę miałam szczęście, że dane mi było przeżyć podobną przygodę. Wiedziałam jednak, że uwierzę w to wszystko dopiero wtedy, gdy nadejdzie wielki dzień wyjazdu. A czas płynął wtedy dla mnie powoli, stanowczo zbyt wolno.

WYJAZD DO EUROPY

Na tydzień przed podróżą nie potrafiłam usiedzieć na miejscu. A ponieważ przygotowania do niej były bardzo skomplikowane, zakonnice wiele razy musiały przywoływać mnie do porządku. Zachowywałam się zbyt głośno, śmiałam bez powodu... Ale czy można mi się było dziwić? Dla dziewczyny takiej jak ja, przygoda, którą miałam przeżyć, była po prostu czymś nadzwyczajnym.

Do tej pory widywałam tylko wozy konne. A przebycie tej długiej trasy, której celem miał być port Saint-Malo we Francji, wymagało skorzystania z samochodu, kolei i spędzenia wielu dni na transatlantyku!

Już na dwie noce przed wyjazdem nie spałam. Próbowałam wyobrazić sobie poszczególne etapy tej podróży, lecz bez powodzenia - wszystko było mi zupełnie obce, a pociągi, statki i morze widywałam wyłącznie na fotografiach.

Ostatniej nocy po raz kolejny sprawdziłam zawartość mojej walizki, która była raczej bardzo skromna: kilka sztuk bielizny, czarna tunika i biała koszula, które nosiłam na co dzień, dwa zeszyty, ołówek, święte obrazki, dwa białe bawełniane welony oznaczające dziewczęta zaczynające nowicjat. Zabrałam też tę starą lalkę od siostry Marguerite, a także napisany przez nią osobisty list - w tym moim nowym życiu zamierzałam często go czytać.

Siostra Marguerite życzyła mi w nim powodzenia. W Europie, pisała, będę mogła uzupełnić swoją wiedzę z krawiectwa, bo to jedno z najlepszych miejsc na świecie, żeby się w tej dziedzinie doskonalić, a w Bretanii, jeśli będę tego chciała, dowiem się wszystkiego o koronkach. Marguerite wyznała mi w nim także, że darzy mnie szczególnymi uczuciami, i zapewniała, że zachowa mnie w sercu na zawsze. Czytając te słowa, płakałam, bo w sumie siostra Marguerite była moją drugą mamą.

15 października 1930 roku miałam osiemnaście lat i byłam gotowa do przeżycia pierwszego dnia reszty mojego życia.

Jak zwykle dzwonił pobudkę o 5.30. Razem ze mną z Chicoutimi wyjeżdżały jeszcze dwie postulanki mające odbyć nowicjat w Europie: siostra Èva Tremblay i siostra Thérèse Martel,

kuzynka, której nigdy nie widziałam. I choć do godziny siódmej, o której mieli się zjawić dwaj ojcowie eudyści i siostra Romualda, towarzyszący nam w tej podróży, miałam dużo czasu, umyłam się jak najszybciej, pospiesznie zjadłam śniadanie, a potem poszłam do kaplicy, żeby przed wyjazdem jeszcze się pomodlić. Złożyłam swój los w ręce Boga i Matki Boskiej, w których pokładałam absolutną ufność. Prosiłam, żeby prowadzili mnie w tym kompletnie nieznanym mi świecie, a także zwierzyłam się z mojego niepokoju, że już nie będę tak bezpieczna jak w zakonie. Zakonnice mówiły mi, że podróż ma trwać około dziesięciu dni. A więc będę wystawiona na kontakt z ogromną liczbą ludzi. Jak powinnam wśród nich postępować? „Dlatego też proszę Was, mój Boże i Najświętsza Mario Panno - błagałam - żebyście chronili mnie podczas tej pięknej odysei”.

Potem pobiegłam do sypialni, choć było to zwykle zabronione, złapałam za walizkę i udałam się do drzwi wejściowych, gdzie bardzo grzecznie czekałam. Była 6.30. Dwie zakonnice, które rozmawiały w pobliżu, podeszły do mnie i przypomniały mi, że ojcowie mają przyjechać dopiero o siódmej. Ale ja i tak wolałam czekać tutaj. Dawało mi to pewność, że o mnie nie zapomną.

Piętnaście minut później zjawiły się dwie pozostałe postulantki, które były tak samo rozgorączko-

wane jak ja. Podałyśmy sobie dłonie, usiłując zachować spokój i powstrzymywać podekscytowane okrzyki.

W końcu nadeszła siostra przełożona, żeby wydać nam ostatnie polecenia. Przestrzegła nas przed nieznanymi i kazała obiecać, że nigdy nie będziemy się oddalały od towarzyszącej nam zakonnicy odpowiedzialnej za nas podczas podróży. Dała nam też odpowiednie dokumenty, pozwalające nam wyjechać za ocean pod czyjąś opieką. Byłyśmy bowiem za młode, by mieć własne paszporty.

Zza drzwi dobiegł nas dziwny odgłos. Furtka się otworzyła i jednocześnie zobaczyłyśmy samochód - cały czarny i lśniący, z białymi paskami na oponach - który miał nas zawieźć na dworzec. Był tak wspaniały, że nie mogłam ochłonać z wrażenia.

Zajęłam miejsce na tylnym siedzeniu i zneruchomiałam. Tylko palcami dyskretnie głaskałam złocony welur kanapy. Byłam tak podniecona, że nawet nie ośmielałam się oddychać. Nie chciałam przegapić ani sekundy z tej chwili i jednocześnie starałam się być jak najmniejsza, żeby tylko nikt nie kazał mi wysiąść. Więc gdy ktoś się do mnie odezwał, nie odpowiedziałam. Chciałam tylko, żeby samochód wreszcie ruszył. Okazało się jednak, że w zdenerwowaniu zapomniałam o walizce.

Kiedy kierowca w końcu włączył zapłon, ogromne auto łagodnie się potoczyło, a my ledwie

czułyśmy dziury i kamienie na drodze i dziwiło nas to, bo byłyśmy przyzwyczajone do jazdy wozami, które energicznie potrząsają pasażerami, kiedy ich koła napotkają jakąś przeszkodę.

Kierowca zostawił swoje okno otwarte i na policzkach poczułam chłodny październikowy wiatr. Zamknęłam oczy, ogarnęło mnie wielkie szczęście. Wiedziałam, że od tego momentu zawsze będę lubiła przejażdżki samochodem.

Pół godziny później przyjechaliśmy na dworzec i wysiadłam z auta z wielkim żalem. Chciałabym, żeby podróż ta trwała dłużej. Podano mi walizkę z prośbą, żebym od tej pory lepiej na nią uważała, po czym po raz pierwszy w życiu zobaczyłam peron, co jeszcze bardziej wzmogło moje podniecenie.

Pociąg do Quebecu miał się za chwilę pojawić, więc jeden z ojców poszedł do kasy kupić bilety.

Już samochód wydawał mi się ogromny, ale lokomotywa oczarowała mnie swą długością i wysokością na co najmniej dwa piętra. Byłam pod wrażeniem jej gwizdu, anonsującego wjazd na dworzec. Gdy tylko uzyskałam zgodę, wspięłam się na schodki prowadzące do wagonu i obejrzałam za siebie, żeby podziwiać peron z nowego punktu widzenia.

Sam wagon wykonany był z metalu, natomiast siedzenia pokrywała czarna skóra. Niektóre ławki rozmieszczone były tak, żeby pasażerowie mogli siedzieć naprzeciwko siebie, i myślę, że po

rozmiarach lokomotywy to właśnie zdziwiło mnie najbardziej. Nie wiem, co się ze mną stało, ale pobiegłam zająć sobie któreś miejsce. Zdziwiony moją reakcją zakonnik poprosił mnie, żebym powstrzymała emocje i zachowała spokój. Przypomniwał też, że spędzimy w tym pociągu tyle godzin, że nawet jeśli będę chciała wypróbować wszystkie siedzenia, będę miała na to wystarczająco dużo czasu.

Kolejny raz ze zdziwienia rozdziawiłam usta, kiedy trochę później weszłam do wagonu restauracyjnego. Nie byłam w stanie iść prosto przed siebie, więc pokornie podążałam za zakonnicą, która wzięła mnie pod rękę i usadziła na miejscu obok siebie. Po prostu nie mogłam w to wszystko uwierzyć! Jadłyśmy, siedząc przy stole, podczas gdy pociąg jechał! Więcej, mogłyśmy jednocześnie podziwiać krajobraz, który stale zmieniał się przed naszymi oczyma. Z tej pierwszej podróży, trwającej pięć godzin, nie przegapiłam ani sekundy. Patrzyłam na przesuwające się za oknem jeziora, lasy, gospodarstwa, zwierzęta... Jakbym przewracała strony w książce z obrazkami. W końcu wjechaliśmy na dworzec w Quebecu, który z oddali wyglądał jak otoczony wieżyczkami zamek. A przecież jeszcze tyle było przede mną! Choćby dworzec Windsor w Montrealu i nowojorski.

W pewnym momencie zapomniałam, gdzie jestem. Oczywiście ogarnęło mnie zmęczenie, ale

swoją rolę odegrało też rozgorączkowanie spowodowane tymi wszystkimi odkryciami. Było to jak sen na jawie, zbyt zadziwiający, żeby mógł być prawdziwy. Stałam się zwykłym widzem, nie przeżywającym chwili obecnej, bo w moich oczach nie było już miejsca na kolejne obrazy. Trudno mi było to wszystko sobie przyswoić. Ojcowie eudyści dali nam prawdziwą lekcję historii, cierpliwie tłumacząc, co widzimy za oknem, a ja siedziałam z szeroko otwartą buzią.

Przytomność odzyskałam w samochodzie, który wiozł nas na dworzec w nowojorskim porcie, a który nazywał się „taxi”. Pamiętam, że słowo „taxi” natychmiast polubiłam. W moich uszach brzmiało ono jak jakiś obcy język.

Tym, co w Nowym Jorku uderzyło mnie najbardziej, była oczywiście wielka liczba drapaczy chmur ściśniętych na wyspie o wiele mniejszej niż powierzchnia Saguenay-Lac-Saint-Jean. Ponownie z pomocą przyszli nam ojcowie. Wytłumaczyli, że zabudowa w tym miejscu jest tak gęsta, gdyż pozwala na to ziemia, poza tym obszarem byłoby to niemożliwe.

Wjeżdżając do portu, dostrzeżliśmy majestatyczny transatlantyk „France”, na którego pokładzie mieliśmy przepłynąć ocean. Był to jedyny statek z czterema kominami i w niczym nie przypominał okrętów z książek, jakie oglądałam w zakonie. Po

raz kolejny zapało mi dech. Z trudem powstrzymywałam łzy, tak wielkie emocje przeżywałam. Moje towarzyszki podróży najwyraźniej czuły to samo.

Nasi opiekunowie opowiedzieli nam, jak będzie wyglądało wsiadanie na okręt, ale byłyśmy tak podniecone, że nic z tego nie rozumiałyśmy. Stałyśmy w kolejce, nie bardzo wiedząc, dokąd się kierujemy. Był 17 października, 8.30 rano, gdy półsierota Armande Martel szykowała się do wejścia na pokład majestatycznego „France”. Pogodzona już z tym, że całe życie spędzę w zakonie, wyjeżdżałam właśnie na spotkanie z innym losem. Wydawało mi się to nierzeczywiste. Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że będę uczestniczyła w takiej ekspedycji.

Na statku poprowadzono nas korytarzami do zarezerwowanych kajut. Przeznaczona dla nas część składała się z dużego salonu i dwóch przylegających do niego kajut, z których jedną, z piętrowymi łózkami, miałyśmy zająć my, postulanki, i zakonnica.

Moje podniecenie sięgnęło zenitu i zapomniałam o dobrych manierach. Głośno wyraziłam chęć spania na najwyższym łóżku, a ponieważ na szczęście nikt się temu nie sprzeciwił, mogłam je od razu zająć. Z góry dostrzegłam miskę klozetową i przylegającą do niej malutką umywalkę. Były nawet drzwi, za którymi można było się umyć w całkowi-
tej intymności. Zaczynałam pojmować, co znaczy

słowo „luksus”, choć towarzyszący nam ojcowie stwierdzili, że chociaż „France” zachował pewien blask, to od czasu ich ostatniej podróży jego stan nieco się pogorszył. Dla mnie jednak był to najpiękniejszy okręt na świecie i postanowiłam nie słuchać ich komentarzy.

Po szybkim rozpakowaniu się poszliśmy zwiedzać pokłady. Ustawiono na nich sporo leżaków, więc postanowiłam chociaż na kilka sekund wyciągnąć się na jednym z nich, ale zostałam natychmiast przywołana do porządku. Oparci o reling - który nazwałam poręczą balkonu - obserwowaliśmy ruch w porcie. Do trapu stale podjeżdżały samochody, z których wylewały się fale nowych pasażerów, spieszących ku kładce, podczas gdy robotnicy pchali wózki obciążone bagażami, żywnością i wszelkiego rodzaju butelkami.

Obok mnie jakieś małżeństwo żywo dyskutowało. Kobieta niepokoiła się morską podróżą, wspominając historię „Titanica”, który zatonął w 1912, roku mojego urodzenia. Mąż zaś starał się dodać jej otuchy, tłumacząc, że taka katastrofa zależy, po części, od błędu człowieka. Wyglądało na to, że ten argument ją uspokoił. Mnie zresztą też. Bo zaczęłam mieć obawy, że przydarzy nam się jakieś nieszczęście.

Kontynuowaliśmy zwiedzanie pokładów - od lewej burty do prawej. Od razu zauważyłyśmy

miejsce przeznaczone do kąpieli słonecznych, ale my oczywiście nie miałyśmy tu wstępu. Poza głównym pokładem naliczyliśmy jeszcze sześć. Na środku okrętu przepiękne schody z poręczami z kutego żelaza łączyły pokład spacerowy z następnym. Były też dwie windy zapewniające dostęp do wyższych pięter.

Weszliśmy do luksusowego salonu ze stolikami, krzesłami pokrytymi welurem, gdzie pasażerowie rozmawiali i pili kawę, herbatę albo różne alkohole. Przylegająca do niej sala jadalna wyglądała majestatycznie z kryształowymi lustrami, nieskazitelnie białymi obrusami i porcelanową zastawą. Nie miałyśmy okazji zobaczyć jej wieczorem, jak lśni tysiącami iskier, ani gości w eleganckich strojach, bo jadłyśmy w naszych kajutach, ale wyobrażałam sobie, że to miejsce musi wtedy wyglądać jak z bajki. Do olbrzymiej sali balowej zaś nawet nie zajrzałyśmy, bo nasi opiekunowie, jak sądzę, starali się oddalić od nas pokusę grzechu.

Ale potem wszyscy usiedliśmy w kafeterii i po raz pierwszy w życiu zjadłam sandwicza z szynką. Był przepyszny.

Ogłoszono, że okręt odpłynie za godzinę. Postulantki i ja wykorzystaliśmy ten czas na wymianę pierwszych wrażeń, ojcowie zaś dyskutowali z pasażerami. Dzień był piękny i raczej ciepły jak na połowę października. Wreszcie ładownie były pełne

i niebawem syrena miała ogłosić odpłynięcie. Całe szczęście, że zostaliśmy o tym uprzedzone, bo inaczej jej przejmujący dźwięk przeraziłby nas nie na żarty. Potem zaczęły pracować silniki, wydzielając tak nieprzyjemny zapach mazutu, że Èva Tremblay prawie od niego zemdląca.

Wszyscy pasażerowie zgromadzili się na pokładach, żeby oglądać wielki manewr wypływania na szerokie wody. Statek powoli opuszczał port, podczas gdy przed nim zaczął się taniec holowników, które go ciągnęły na głębiny, bo na tak płytkiej wodzie jego silniki nie mogły pracować pełną parą. Według tego, co usłyszałyśmy, spośród wszystkich okrętów pływających po Atlantyku północnym „France” był trzeci po względem szybkości.

Otoczona tym ogromem wody przypominającej czarny atrament nagle poczułam się bardzo malutka. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że tak olbrzymiej rzeczy udaje się utrzymać na jej powierzchni. Kiedy na horyzoncie zniknął brzeg, trochę spanikowałam. Trzeciego dnia przez wiele godzin okrętem wstrząsał sztorm. I „France”, jeszcze nie tak dawno sprawiający wrażenie kolosa, w obliczu wściekłości oceanu przypominał papierowy stateczek. Myślałam, że woda pochłonie nas bez żadnego trudu. Èva, która od wyjazdu z Nowego Jorku niczego nie przełknęła, czuła się coraz gorzej. Lekarz radził jej coś zjeść, nawet na

leżąc, aby zapełnić czymś żołądek, co zmniejszyłoby nudności. Ale u niej to nie zadziało. Ja natomiast, gdy tylko morze się uspokoiło, wyszłam na pokład. Powietrze szerokich wód wpływało na mnie doskonale. A ponieważ na zewnątrz panował chłód, na pokładzie było mało ludzi i nikt mi nie przeszkadzał.

21 października, wczesnym rankiem, zarzuciliśmy kotwicę w porcie Le Havre, a ja już byłam zakochana w tej nowej ziemi, która miała mnie przyjąć, w jej pięknych domach, tak różnych od budynków w Quebecu. Gdy okręt przybijał do brzegu, wszyscy byliśmy już na pokładzie i patrzyliśmy na ludzi w porcie, którzy machali do nas, witając zarówno nas, jak i sam „France”. Miałam wrażenie, że przyjeżdżam do siebie, i wyobrażałam sobie, że w tym tłumie czeka na mnie moja rodzina. Wszyscy pasażerowie wyglądali na bardzo szczęśliwych, że staną wreszcie na twardym gruncie. Èvie zaś ta podróż w ogóle się nie podobała i u jej kresu była tak samo blada jak na jej początku.

Służby transportowe miały nas odwieźć na dworzec, skąd pociągiem najpierw miałyśmy pojechać do Paryża, a potem do Bretanii - w sumie kolejnych dwanaście godzin w drodze. Dlatego też towarzyszący nam ojcowie radzili, żebyśmy uzbroiły się w cierpliwość. Rzeczywiście trzeba jej było

niemało, gdy tak jak ja chciało się dotrzeć jak najszybciej do nowego klasztoru.

W pociągu korzystałam z okazji i podziwiałam krajobraz, tak odmienny od kanadyjskiego. W miarę zbliżania się do Paryża ogarniało mnie coraz większe rozgorączkowanie. Siostra Adolphine dużo opowiadała mi o tym mieście, nazywanym miastem świateł, i o tym, że mieszkali w nim najznakomitsi mistrzowie krawiectwa damskiego. Miało to dla mnie ogromne znaczenie, gdyż spieszno mi było do szycia i nauki nowych technik, którą mi obiecano. Aby jakoś spędzić ten czas, usiadłam w kącie wagonu i rysowałam wzory sukienek, które wypatrzyłam na pasażerkach podczas rejsu i w pociągu. Oczywiście szkice te musiały zostać w moim zeszytcie, bo zakonnice nigdy by się nie zgodziły, żebym je szyła. Ale nikt nie mógł zabronić mi marzyć.

Wczesnym wieczorem dotarłyśmy w końcu do Bretanii, do Rennes. To tutaj mieścił się dom macierzysty Sióstr Oczyszczenia Najświętszej Marii Panny. Na dworcu przywitała nas miła i skupiona zakonnica, a ja natychmiast rozpoznałam w jej głosie akcent siostry Adolphine i zrobiło mi się ciepło na sercu. Ten głos od razu stał mi się bliski.

Nareszcie nasza podróż, która czasami zdawała się nie mieć końca, dobiegała kresu. Przy wejściu do klasztoru czekało na nas wiele zakonnice. Ale jaki to był zakon! Ogromny. Nie wierzyłam własnym

oczom, kolejny raz, i zanim przekroczyłam jego progi, przez długie sekundy podziwiałam jego architekturę. Ilu lat potrzebowano, żeby zbudować tak kolosalne dzieło? Nie mogłam tego powiedzieć, ale nigdy w życiu nie widziałam murów takiej grubości. Można było odnieść wrażenie, że wchodzi się do jakiejś fortecy, i natychmiast poczułam się wśród nich bezpiecznie. Mimo że byłam zmęczona, znalazłam siły na zwiedzanie klasztoru i spotkanie z tutejszymi zakonnicami.

Budynek był co najmniej cztery razy większy od tego, w którym dorastałam. Bałam się nawet, czy w nim nie zabłądzę. Rozpoznawałam zapachy mojego dawnego klasztoru - pasty do podłóg, oleju do boazerii i środka dezynfekującego. Kiedyś były one dla mnie odpychające, ale w końcu stały się częścią mojego życia.

Jedna z zakonnice uprzejmie oprowadziła nas po naszym nowym domu, ale z powodu jej silnego akcentu nie wszystkie jej wyjaśnienia zrozumiałam. Sala sypialna poza kilkoma szczegółami była identyczna jak nasza, ale teraz wydała mi się bardziej sympatyczna. Zaczynało się dla mnie nowe życie - pragnęłam się uczyć i cieszyć każdą chwilą. Uważałam, że nasze gospodynie są bardzo gościnne i przede wszystkim bardzo cierpliwe wobec „siostrzyczek z Kanady”, jak nas nazywały. Z ulgą stwierdziłam, że zasady życia w tutejszej

wspólnocie były o wiele mniej surowe niż w naszej, a zadania zakonnice nie tak ciężkie i bardziej urozmaicone.

Po lekkiej kolacji, składającej się z chleba i sera, poszłyśmy spać. Bardzo tego potrzebowałyśmy, a przede wszystkim Èva, która przez cały tydzień odzyskiwała siły po podróży.

Dwa dni po przyjeździe Thérèse Martel i ja wyjechałyśmy z Rennes, żeby odbyć nowicjat na Guernesey, angielsko-normandzkiej wyspie oddalonej mniej więcej o sto kilometrów od Saint-Malo. Podróż statkiem trwała dzień, ale nie zrobiła już na mnie szczególnego wrażenia. Na wyspie, długiej na osiem kilometrów, samochody tak jak w Anglii jeździły lewą stroną, a obiegową monetą był funt szterling. Tutejsza ludność żyła z budowy statków i z połowów. Ryb najadłam się tam do syta.

Po przyjeździe do Guernesey zaprowadzono nas do parafii Sainte-Marie-du-Catel, gdzie znajdował się drugi dom wspólnoty, nazywany domem ze słomianym dachem. Był skromniejszy niż klasztor w Rennes, a duża liczba elementów drewnianych nadawała mu wiejski charakter. W ogrodzie rosło wiele drzew owocowych. Miejsce to było spokojne i pełne ciepła i zaczynałam rozumieć, dlaczego właśnie tu zakonnice odbywały nowicjat, a Victor Hugo wybrał tę wyspę, żeby pisać. Sala sypialna, z bardzo niskim sufitem, była szczególnie przyjemna,

łóżko zaś miałam niezwykle miękkie i tak wygodne, że przez cały pobyt tutaj co wieczór usypiałam w nim z radością.

Gdy zapoznałam się z organizacją domu, skierowano mnie do prac kuchennych. Aby szybko zapamiętać nazwy używanych tam przyborów, zapisywałam je sobie na kawałku papieru. Moim zdaniem większość z nich brzmiała o wiele ładniej niż te, do jakich przywykłam w Quebecu. Na przykład chochła była nabierką, sito do odcedzania sosów - chińczykiem, tłuczek do ubijania ziemniaków - przecieraczem, do warzyw gotowanych na parze używało się margerytki, natomiast szczypcy bociannie służyły do formowania brzegu tarty.

Pomagałam w przygotowywaniu posiłków, odkrywając nowe smaki, przyprawy i zapachy, i byłam bardzo zadowolona z tego życia na wsi. To w Guernesey dowiedziałam się także, co dla wspólnoty stanowi wartość. Zdaniem pana Fleury'ego, założyciela kongregacji, nie powinnyśmy być damami, lecz siostrami miłosierdzia. „Bądźcie zawsze zadowolone z tego, co się wam przydarza”, powtarzał on. We wszystkich czynnościach siostry powinny się starać zachować ewangeliczną prostotę. Ich gorliwość ma być przesycona prawdziwą wspaniałomyślnością, która nie cofa się przed wykonaniem żadnego zadania. Zawsze powinny być pogodne, zarówno odnosząc sukces, jak i przeżywając

nieszczęście. Mówiąc krótko, powinny żyć w tej spokojnej i uśmiechniętej pokorze, która poszerza duszę i zapewnia jej otwartość w pobożności, o czym mówi Franciszek Salezy.

Na młode dziewczyny, przepełnione szlachetnymi myślami i pochłonięte chęcią doskonalenia się, które czują, że coś je ciągnie do klasztoru, Boski Pan rzucił spojrzenie, przemawia do nich dyskretnie i je do siebie przyciąga. Zawsze powinnyśmy mieć w pamięci słowa jednej z założycielek, Louise Lemarchand: „Będziesz zakonnicą... Jezus cię potrzebuje, chce całej ciebie dla siebie samego. Liczy na to, że będziesz Mu służyła i Go kochała...”. Louise Lemarchand twierdziła też, że zakonnice powinny być dobre, pobożne i silne, przede wszystkim zaś nie mogą lubować się w życiu światowym, bo otaczający je świat nie dosięga ich duszy.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam, że można w ten sposób mówić o życiu w zakonie. Bez jednej wzmianki o wierze ani Bożym powołaniu jako czymś, co obowiązkowo powinno się odczuwać. Obraz Boga jako Pana nigdy przyszedł mi do głowy. Było to dziwne, ale wydawało mi się, że podstawą tej filozofii jest niechęć do świata zewnętrznego, podczas gdy wszystko, co ja od początku mojej wędrówki po w tym świecie widziałam, słyszałam i czego doświadczyłam, odebrałam jako coś inspirującego. Nie potrafiłam znaleźć odpowiednich

słów, żeby nazwać swoje uczucia, ale mowę tę odbierałam jako przygniatającą i od razu poczułam się bardziej skrępowana. Oczywiście z moich rozterek nikomu się nie zwierzyłam.

11 lipca 1931 roku złożyłam pierwsze śluby, czasowe, które pozwalały mi zacząć nowicjat. Miałam wtedy dziewiętnaście lat. Tego dnia nowicjuszki powinny postępować zgodnie z ceremoniałem. Po porannej toalecie obcinano im włosy. W moim przypadku było to duże poświęcenie, bo bardzo je lubiłam - były długie, czarne i kręcone. Ale trudno, powiedziałam sobie, odrosną. Nie było czasu na roztkliwianie się nad sobą i nie chciałam psuć sobie tego pięknego dnia. Przede wszystkim bowiem chciałam jak najszybciej zostać postulanką. Wyobrażałam sobie, że zasadniczo to mnie zmieni, że codziennie w głębi duszy będę doświadczała stanu łaski, w którym znajdzie się moja czysta dusza. O święta naiwności!

Następnie wszystkie postulanki ubrały się w czarne suknie, krótsze od zakonnic, z białym kołnierzykiem, a na szyi zawiesiły na jedwabnym sznurku srebrne krzyżyki bez Chrystusa. Następnie na białe czepki włożyły czarne welony.

Ceremonia w każdym punkcie była podobna do pierwszokomunijnej. Siedząc w kaplicy na ławkach, słuchałyśmy, jak zakonnice prowadziły nasze myśli. Ponownie spytały nas, czy jesteśmy pewne

wyboru i czy ta decyzja została podjęta zgodnie z naszą wolą. Jak można być pewnym wybranej drogi, kiedy ma się zaledwie dziewiętnaście lat? Jeżeli chodzi o mnie, to decyzja zapadła już dawno, bo był to jedyny sposób na życie, jaki znałam.

Następnie w naszym imieniu głos zabrał kapłan i powtarzał jeden po drugim śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, które myśmy musiały złożyć. Na koniec uroczystości kongregacja zorganizowała wielki bankiet w ogrodzie. Był to pamiętny dzień.

Przez dwa lata mojego nowicjatu przykładałam się do wyznaczonych mi zadań, a w czasie wolnym szyłam. Pierwszego lata zaproponowano mi, żebym w trakcie plac polowych zajmowała się ośmiorgiem wiejskich dzieci. Uwielbiałam to zajęcie. Przypominało mi dzieciństwo spędzone w towarzystwie braci. Prawie wszystkie rodziny na wyspie miały co najmniej ośmioro dzieci, a tutejsi mężczyźni byli albo rybakami, albo rolnikami. Już Victor Hugo na temat mieszkańców Guernesey powiedział: „Ten sam człowiek jest chłopem na roli i chłopem na morzu”.

Po wakacjach, kiedy zaczął się rok szkolny, wróciłam do klasztoru i do prac w kuchni, ale tych kilka tygodni spędzonych na łonie rodziny sprawiło, że znów musiałam znosić ciężar samotności. Czułam się tu coraz bardziej odizolowana od świata.

Wiadomości z zewnątrz docierały do nas z opóźnieniem, rzadko też widywałyśmy nowe twarze. Byłyśmy zdane na łaskę statków i pogody. Kiedy morze było wzburzone, nikt nie cumował przy Guernesey. A w głębi siebie również odczuwałam wrażenie opuszczenia.

Dodawałam jednak sobie otuchy, powtarzając, że na tej samotnej wyspie mam spędzić jeszcze tylko jedną zimę i 5 lipca 1933 roku mój nowicjat się skończy. A wtedy wrócę do Rennes.

ZESZYT DRUGI

ŚLUBY I WOJNA

Do macierzystego domu kongregacji wróciłam po prawie dwuletnim pobycie na Guernesey. Nadszedł już czas na przygotowanie się do ślubów wieczystych, które miałam złożyć pod koniec ostatniego roku nowicjatu.

W ciągu tego roku nadal się kształciłam, uczestnicząc w wykładach z teologii naturalnej i dogmatycznej, ale zupełnie poważnie uważałam, że nie sprostam temu zadaniu. Wątpiłam w moje zdolności i możliwość opanowania wiedzy, która moim zdaniem była przeznaczona dla wielkich myślicieli. Zakonnice jednak szybko dodały mi otuchy. Studiowanie teologii, tłumaczyły, to przede wszystkim interesowanie się Bogiem. Teologia naturalna mówi nam o istnieniu Boga, ukazuje takie Jego boskie atrybuty, jak wieczność, doskonałość, dobroć i wszechmoc. Teologia życia zakonnego zaś wprowadza do modlitwy, uczy, jak przeżywać liturgię we wspólnocie, zachować w sercu słowo, a potem ukazywać je w świecie.

Wszystkie nowicjuszki do południa były bardzo zajęte. Wstawaliśmy o piątej i uczestniczyliśmy w oficjum porannym oraz w jutrzni. Było to najkrótsze z czterech nabożeństw w ciągu dnia. Następnie jadaliśmy śniadanie, podczas którego odczytywano nam natchnione teksty. Potem szliśmy na zajęcia. Po wykładach uczestniczyliśmy w oficjum liturgii godzin, a później był posiłek i drugie oficjum liturgii godzin, a także powrót na zajęcia. Przed wieczornym posiłkiem uczestniczyliśmy w ostatnim oficjum liturgii, a natychmiast po kolacji w nieszporach, po których - można w to wierzyć lub nie - był przymusowy czas na odpoczynek. Chyba nie muszę cię przekonywać, że wzięłabym w nim udział nawet bez przymusu. Od 19.30 obowiązywała absolutna cisza i wszystkie musiałyśmy być już w łózkach.

W niedzielę, po sumie, miałyśmy nareszcie chwilę wolności, podczas której mogłyśmy zajmować się sprawami osobistymi. Był to jedyny taki moment w tygodniu.

W ostatnim roku nowicjatu zaprzyjaźniłam się z dziewczyną, której prawdziwego imienia nie znałam, bo byłyśmy zobowiązane do zachowywania anonimowości. W chwili składania ślubów wieczystych chciała ona przyjąć imię Marie-Louise na cześć jednej z założycielek naszej wspólnoty, i tak właśnie się do niej zwracałam.

Zawiązała się między nami prawdziwa zażyłość, przede wszystkim dlatego, że łączyła nas pasja szycia. Marie-Louise urodziła się w Rennes w rodzinie robotniczej, a jej ojciec wykonywał dla wspólnoty różne prace. Dużą część swego dzieciństwa spędziła zatem w otoczeniu zakonnicy i miała dla nich ogromny podziw. Opowiedziała mi, że wyraźnie poczuła Boże powołanie, a ja jej tego zazdrościłam.

Dzieliłyśmy się naszą wiedzą o sztuce szycia, a ja opowiadałam jej o siostrze Adolphine, która zachęcała mnie do rozwijania umiejętności krawieckich. Przed uśnięciem myślałam tylko o tym i często w zeszytach rysowałam różne ubrania, a szkiców tych jeszcze nikomu nie pokazałam.

W niedzielę rozmawiałyśmy o tym, czego do tej pory się nauczyłyśmy, o ściegu krzyżykowym stosowanym przede wszystkim w celu uzyskania solidnych szwów, ściegu dzierganym, który zapobiega strzępieniu się materiału, o ściegu za igłą i przed igłą. Dyskutowałyśmy też o *haute couture*. Zastanawiałyśmy się, ile godzin pracy trzeba, żeby ręcznie uszyć suknię narysowaną przez wielkiego projektanta. I wydawało nam się to prawie niemożliwe. Razem marzyłyśmy o tworzeniu i konfekcjonowaniu odzieży. Niedzielne popołudnia mijały zatem szybko i naprawdę dawały nam siłę, by kolejny tydzień zająć zacząć z nową energią.

Musiałyśmy również odbywać okresy odosobnienia, które nazywano rekolekcjami powołania, a które służyły zastanowieniu się nad naszą wiarą. Korzystałam z tych chwil skupienia, żeby zapytać samą siebie, czy to możliwe, że Bóg powołał mnie do życia zakonnego, a ja tak naprawdę nigdy tego nie odczułam. Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek poczuła równie jednoznaczne powołanie jak siostra Marie-Louise. Chociaż właściwie czego powinnam doświadczyć? Ażeby pomóc nam w rozmyślaniach nad tym pytaniem, wspólnota sporządziła listę.

Czujesz Boże powołanie, jeżeli twoje zamiłowanie do modlitwy i przywiązanie do Jezusa Chrystusa pozostają niewzruszone; jeżeli od czasu do czasu ogarnia cię pragnienie bycia zakonnicy; jeżeli nie zależy ci na pieniądzach, na posiadaniu wszystkiego i na dominowaniu nad innymi; jeżeli możesz żyć bez wielkich wymagań; jeżeli lubisz żyć w zespole, jakiejś grupie.

Prawie wszystko z tej listy odczuwałam, choć być może z nieco mniejszą intensywnością niż należało. Ale umysł zaprzętało mi dość ważne pytanie o to, czy kocham Boga wystarczająco. Miłość Boga to oczywiste, ale cóż oznaczało właściwie kochanie Boga wystarczająco? Jak wielka była ta moja

miłość? I czy moje pragnienie, żeby zostać zakonnica, nie było logicznym następstwem pierwszej fazy mego życia, które spędziłam w klasztorze?

Siostry często powtarzały mi, że to dzięki wspólnocie i wykształceniu, jakie w niej zdobyłam, jestem taką wzorową kobietą. Kładły również nacisk na fakt, że nigdy niczego mi nie brakowało. Czy byłam im więc do tego stopnia wdzięczna, żeby poświęcić im resztę życia, chociaż miałam dopiero dwadzieścia dwa lata?

Wspólnoty często wyrażały takie oczekiwania - że sieroty, którymi się zajmowały, pozostaną w zakonie. Wydawało się to naturalną formą wzajemności. Sądzę, że i mnie właśnie chciano przekazać taki komunikat. Ja natomiast byłam świadoma, że jeżeli zgodzę się na ten los, to na moją przyszłość będą się składały: służebność, posłuszeństwo i całkowita uległość. Ale mimo tych wszystkich nurtujących mnie pytań byłam szczęśliwa.

Podczas tego rachunku sumienia nigdy nie zdarzyło mi się podać w wątpliwość ślubu czystości. Oczywiście zdarzało mi się odczuwać pewne pragnienia, które wydawały mi się nienormalne, ale w takich chwilach starałam się myśleć o czymś innym. Wstawałam, pisałam albo się modliłam. Nie było też mowy, żebym o tych momentach słabości napomknęła podczas spowiedzi. Mówiłam sobie, że to, co się dzieje między mną a mną, dotyczy tylko mnie.

Niebawem miałam wziąć ślub z Panem Bogiem, a dla dwudziestodwulatki ślub jest rzeczą najważniejszą. Miałam na zawsze oddać swoje życie Bogu, co stanowiło dla mnie wielką tajemnicę, bo przecież związek ten nie był czymś namacalnym. I co dla dziewczyny w tym wieku może znaczyć wyrażenie „na zawsze”? Moje pytania nie były rzeczą najważniejszą; uroczyście złożyłam śluby wieczyste w miesiącu Maryjnym, w pierwszą niedzielę maja 1934 roku.

Zaślubienie Pana było momentem wspaniałym. Kaplicę zdobiło mnóstwo białych kwiatów. Razem ze mną do klasztoru wstępowało czterdzieści nowicjuszek. Wszystkie byłyśmy podenerwowane i łatwo było dostrzec rozgorączkowanie podobne do tego, jakie towarzyszy zamążpójściu.

Najpierw uczestniczyłyśmy we mszy, a po przeczytaniu fragmentu Ewangelii rozpoczęła się ceremonia zadawania pytań. Wyszeptałam pierwsze „tak”, godząc się na podporządkowanie prawom wspólnoty. Następnie położyłyśmy się krzyżem, a pozostałe zakonnice odśpiewały liturgię świętą. Byłam wystraszona i niespokojna, ponieważ nie miałam pewności, czy do końca pojęłam głęboki sens mojej decyzji. Czy dobrze zrozumiałam, co oznacza zgoda na spędzenie życia w ubóstwie, czystości i posłuszeństwie.

Wybrałam sobie imię Marie-Noëlle - po prostu dlatego, że było to zarazem imię Panny Świętej i nazwa dnia narodzin jej syna.

Ten wielki dzień zakończył się lukullusowym przyjęciem. Nigdy nie widziałam takich ilości jedzenia. I natychmiast odkryłam przyjemność płynącą z łakomstwa i nieumiarkowania w jedzeniu i picciu, jednego z siedmiu grzechów głównych, i to wbrew ślubom, jakie przed chwilą złożyłam!

Od tej pory miałam nowy status: siostry Marie-Noëlle, nową suknię i obrączkę na palcu. Nazajutrz dostałam też nowy przydział - zostałam skierowana do pralni, gdzie pod okiem siostry mistrzyni miałam odbyć sześciomiesięczne szkolenie, żeby nauczyć się różnych etapów prania ubrań i bielizny pościelowej. Na początku miałam dużo zapału, ale po tygodniu byłam kompletnie wyczerpana. Podczas kolacji usypiałam nad talerzem, a później w trakcie wieczornej modlitwy. Gorąco i wilgotność, panujące w tych pomieszczeniach, były nie do zniesienia. Poza tym moja nowa suknia była z grubszej tkaniny niż poprzednia, a na nią wkładałam jeszcze fartuch z grubej bawełny, który miał ją chronić. A był to dopiero maj! Co będzie w lecie?

Kiedy o moim wyczerpaniu powiedziałam siostrze mistrzyni, odpowiedziała oschle: „Trzeba się, córko, przyzwyczaić!”. Od tej chwili wiedziałam, że bez względu na to, jakie rozterki czy trudności będę

przeżywała, nikt nie będzie mi współczuł. Powin-
nam wszystko znieść, nigdy się nie skarżąc. Wpa-
dłam wtedy na pomysł, żeby uszyć suknię iden-
tyczną jak ta, którą nosiłyśmy, ale z tkaniny dwa
razy lepszej, która byłaby przeznaczona wyłącznie
dla zakonnice pracujących w pralni. Powiedziałam
o tym siostrze Marie-Louise, a ta zachwyciła się
propozycją wyszukania razem ze mną odpowied-
niego materiału. Nasz wybór padł na len, włókno
naturalne, które mogłyśmy ufarbować na czarno.

Gdy wreszcie nowe lniane suknie były gotowe,
dwadzieścia sześć pracujących razem ze mną za-
konnice odetchnęło z ulgą.

Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że pranie
może być zajęciem aż tak wyczerpującym. Jedna
sztuka bielizny mogła przechodzić przez nasze
ręce trzynaście razy, zanim - w stanie nieskazitel-
nym - nie wróciła do właścicielki: odbiór, sortowa-
nie, łączenie w pary, oznaczanie, pranie, płukanie,
krochmalenie, wyżymanie, suszenie, prasowanie,
składanie, pakowanie i wydawanie... Zakonnice od-
dawały ubrania do pralni w siatkach oznaczonych
imieniem i numerem, a my sortowałyśmy je we-
dług trzech kategorii: kolorów, grubości materiału
i stopnia zabrudzenia. Każdy dzień tygodnia ozna-
czało się nitką innego koloru przyczepianą do każ-
dej sztuki bielizny w celu zachowania kolejności
przyjęć. Następnie trzeba było zszyć razem bardziej

osobiste i mniejsze części ubrania, żeby się nie pogubiły. Moje pierwsze zadanie polegało na zbieraniu brudnych skarpetek, chusteczek do nosa, majtek i podpasek z materiału, które w rzeczywistości były gałganami - niczego nie wolno było wyrzucać. Ta operacja nazywała się łączeniem. Była to praca raczej odrażająca i czasami niewiele brakowało, żebym podczas niej nie zwróciła śniadania.

Kilka miesięcy później zostałam odpowiedzialna za prasowanie pościeli, poszewek na poduszki i obrusów. Niedopuszczalne było ani jedno załamanie. I chociaż zadanie to nie było łatwe, to praca ta mniej mnie wyczerpywała niż wyżymanie pościeli. Poza tym siostra mistrzyni zauważyła, że mam w tym kierunku zdolności.

W roku 1937 przeprowadziłam się do domu ojców eudystów, oddalonego od naszego o pięćdziesiąt trzy kilometry, gdzie również pracowałam w pralni i wykonywałam te same zadania. Chociaż było to dla mnie dziwne, że zezwolono mi na kontakt z męskimi ubraniami i spodnią odzieżą, to przynajmniej już nie musiałam się zajmować bielizną zabrudzoną podczas menstruacji.

Przydzielono mi mały pokój, wyłącznie do mego użytku. Co za ulga! Co prawda nie skarżyłam się nikomu, ale w tym okresie odczuwałam już ogromną potrzebę prywatności. W pokoju znajdowały się białe metalowe łóżko, komoda, stół, malutkie

krzesioko, haczyk, na którym wieszano się habit, i czarny krucyfiks na ścianie.

Od razu poczułam się tu dobrze. Bez obaw mogłam pisać mój dziennik, ale przede wszystkim ceniłam sobie to, że zaraz po przyjściu mogłam zdjąć suknię i welon. Zamykałam drzwi na klucz, bo przecież byłam w samej bieliźnie, i cieszyłam się prawdziwą swobodą. Lecz najpierw przez dobre dziesięć minut drapałam się po głowie, gdyż szczególnie dokuczało mi to, że stale muszę mieć ją przykrytą. Nareszcie powietrze miało dostęp do mojej skóry i było to bardzo przyjemne. W lecie zamykałam oczy i leżałam tak na łóżku, żeby jak najgłębiej odczuwać chłód świeżej nocy. Mówiąc więc krótko, byłam tym moim nowym pokojem zachwycona.

Dla ojców pracowało w sumie czterdzieści zakonnic. Kolację jadłyśmy w specjalnie dla nas urządzonym refektarzu, a ja siedziałam bardzo blisko trzech sióstr odpowiedzialnych za różne gospodarskie zadania. To właśnie podczas tych posiłków po raz pierwszy usłyszałam o Adolfie Hitlerze i o tym, że krążą pogłoski o wybuchu wojny.

Była wiosna 1939 roku, a Hitlera podobno wszędzie się obawiano. Groził wypowiedzeniem wojny wszystkim krajom europejskim, a ojcowie mówili też, że możliwe jest, iż zmieni się ona w kolejny światowy konflikt.

Miesiąc później wróciłam do domu macierzystego mojej kongregacji, bo matka przełożona chciała ze mną porozmawiać. Oprócz mnie wezwano też pięć innych Kanadyjek. Siostra obawiała się wojny. Ostrzegła nas, że w celu odwrócenia od nas uwagi, jako „obcych”, którymi byliśmy, będziemy przez całe lato bezustannie podróżować tam i z powrotem do Guernesey, dzięki czemu władze francuskie być może stracą orientację w sytuacji i zrezygnują ze zmuszenia nas do powrotu do Kanady. Powiedziała też, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby zapewnić nam ochronę, ale nie potrafi przewidzieć, jak sprawy się potoczą.

Od mojego przyjazdu do Bretanii nigdy nie pomyślałam o ewentualnym powrocie do Chicoutimi, chociaż oczywiście nie zapomniałam mojego rodzinnego miasta. Ale niby po co miałam tam wracać? Do mojej rodziny, której od lat nie widziałam? Żeby służyć wspólnocie? Równie dobrze służyłam jej i tutaj. Jeżeli w całym moim dotychczasowym krótkim życiu brakowało jakiegoś uczucia, to z całą pewnością tęsknoty za krajem.

Jeśli prawdą jest, że ludzie mogą doświadczyć kilku żyć, to ja w poprzednim musiałam mieszkać w Bretanii, bo czułam się tu jak u siebie. Szybko przyswoiłam sobie obyczaje, polubiłam jedzenie i zaakceptowałam mentalność Bretończyków,

a także ich sposób mówienia. I z łatwością mogłabym zostać w tej krainie aż do końca moich dni.

Od maja do sierpnia jeździliśmy zatem tam i z powrotem między Guernesey, domem zakonnicy i klasztorem ojców eudystów, gdzie natychmiast po pojawieniu się podejmowałam się moich zadań. Wyglądało na to, że napięcie na świecie rośnie z dnia na dzień. Rzadko wychodziłyśmy do ogrodu, ponieważ mieszkańcy Rennes coraz bardziej bali się obcokrajowców. Jako że nigdy nie przeżyłam podobnego konfliktu, nie byłam świadoma powagi sytuacji. Klasztor był dla mnie kokonem, w którym pierwszoplanową rolę odgrywała modlitwa. Nie wiedziałam, o co w tej wojnie chodzi. Chociaż też nikt nie informował nas o kolejnych wydarzeniach. Docierały do nas jedynie strzępy informacji wyciągnięte z rozmów zasłyszanych podczas wieczornego posiłku. A to było zdecydowanie za mało.

3 września 1939 roku około godziny dziesiątej dzwony w miasteczku i syreny ogłosiły wojnę. Siostra przełożona natychmiast ponownie wezwała nas do siebie, żeby wytłumaczyć, co się dzieje, starając się przy tym nadmiernie nas nie przestraszyć. W ogóle zakonnice kierujące wspólnotą unikały rozmów na ten temat z młodymi siostrami, chcąc oszczędzić nam potworności, jakie ten konflikt mógł zrodzić. Niemniej uprzedzały nas o niektórych grożących nam, „małym Kanadyjkom”,

niebezpieczeństwach. Po napaści Hitlera na Polskę Anglia wypowiedziała Niemcom wojnę. W konsekwencji my, Kanadyjki, czyli obywatelki Wielkiej Brytanii, stałyśmy się wrogami Hitlera.

Tego dnia, wychodząc z gabinetu siostry przełożonej, byłam w szoku. W głowie pobrzmiwał mi ton, jakim wypowiedziała ostatnie zdanie. Odniosłam bowiem nagle wrażenie, że jestem kimś niepożądanym, że muszę się gdzieś schować. Owładnęło mną przekonanie, że koniecznie muszę coś zrobić.

Chciałam wrócić do kraju. Poprosiłam więc o ponowne spotkanie z matką przełożoną, która przyjęła mnie w swoim gabinecie. Powiedziałam jej o moich obawach i planach. Odpowiedziała, że już od pewnego czasu starała się zorganizować naszą repatriację, ale dokumenty niezbędne do podróży wciąż nie nadeszły. A pierwszą prośbę o ich przygotowanie wysłała już pięć miesięcy temu. Była bardzo zaniepokojona i nie wiedziała, co się z nami stanie. Obiecała mi jednak na koniec, że jak tylko dowie się czegoś więcej, natychmiast mnie o tym zawiadomi.

Atmosfera w zakonie ojców eudystów stawała się coraz cięższa. Nadal pracowałam w pralni, ale bałyśmy się, że Niemcy, którzy zajęli już miasto, w końcu po nas przyjdą. Nie wychodziłyśmy zatem z domu, a kiedy przez okno dostrzegałyśmy grupę żołnierzy, natychmiast chowałyśmy się w różnych

zakamarkach i podskakiwałyśmy na odgłos najlżejszego hałasu.

Nie miałyśmy żadnej informacji, która pozwoliłaby nam zachować nadzieję. Nasze dokumenty nadal nie nadchodziły, a matka przełożona stała się bardzo małomówna. Cała nasza szóstka czuła, że w końcu zdarzy się coś poważnego.

ARESZTOWANIE

Była mniej więcej ósma rano, kiedy 5 grudnia 1940 roku do drzwi pod numerem 31 przy ulicy d'Antrain zapukali niemieccy żołnierze. Zażądali, bym natychmiast się stawiła. Otwierająca im drzwi zakonnica posłała najpierw kogoś do siostry mistrzyni, gdyż tego dnia siostra przełożona była nieobecna, a dopiero potem poszła po mnie do pralni. Kiedy zdyszana i potwornie przerażona podeszłam do furty, siostra mistrzyni była już na miejscu. Mocno ścisnęła mnie pod rękę, żeby dodać mi otuchy, podczas gdy jeden z żołnierzy zaczął odczytywać napisane po francusku pismo:

Począwszy od tego momentu, ma pani uważać się za osobę aresztowaną. Nie wolno pani opuszczać mieszkania. Wrócimy po panią. Należy zabrać z sobą ciepłe ubrania. Każda próba uchylenia się od tego rozporządzenia grozi karą śmierci.

Żołnierz dodał jeszcze, że przyjdą po mnie za kilka dni, po czym wszyscy stuknęli obcasami, podnieśli ręce i krzyknęli: „Heil Hitler!”.

Aż podskoczyłam i poczułam, jak krew krzepnie mi w żyłach. Nie rozumiałam, co właściwie się stało. Byłam sparaliżowana, aż obecna przy tym zakonnica musiała chwycić mnie pod ramię i odprowadzić do mojego pokoiku. „Matka przełożona będzie tu za kilka godzin - powiedziała - i całą tę sytuację wyjaśni”. Ochlapałam sobie twarz zimną wodą, żeby wrócić do rzeczywistości. Nie wierzyłam własnym uszom. Oni naprawdę grozili mi śmiercią! Ponownie przeczytałam dokument, a moje dłonie nie przestawały drżeć. Słowa „aresztowana” i „kara śmierci” były po oczach. Miałam więc umrzeć tylko dlatego, że byłam Kanadyjką?! To wszystko nie miało sensu. Moja zbrodnia polegała na tym, że byłam zależna od Wielkiej Brytanii? Ja, która w Anglii nigdy nie postawiłam nawet nogi, a której poddaństwo koronie brytyjskiej sprowadzało się do tego, że znałam króla i królową jedynie z fotografii? To aresztowanie z pewnością musiało mieć jakiś inny powód... Dokąd Niemcy mnie wywożą? Może po prostu - czego pragnęłam najbardziej - odeślą mnie do Kanady?

Gdy przyjechała wreszcie siostra przełożona, zaprowadzono mnie do jej gabinetu. Ażeby złagodzić mój niepokój, poinformowała mnie, że pozostałe

kanadyjskie zakonnice otrzymały takie samo rozporządzenie jak ja. Wytłumaczyła też, że Anglia odmówiła Niemcom sojuszu i w związku z tym 16 listopada 1940 roku Hitler wydał nakaz aresztowania wszystkich obywateli brytyjskich przebywających w strefie okupowanej.

Moja znajomość polityki była bardzo ograniczona, nie mogłam więc zrozumieć, dlaczego grozi mi kara śmierci. Ogarnęła mnie panika. Jeżeli nie podporządkuję się rozkazowi, to umrę tylko dlatego, że urodziłam się w kraju związanym z innym krajem, który nie chciał zostać sprzymierzeńcem Niemców. Było to dla mnie niewiarygodne, żeby z tego powodu zabijać ludzi. Nawet nie będę miała prawa do procesu, nie będę mogła się bronić! - protestowałam. Na co siostra przełożona ze spokojem odrzekła: „Moje drogie dziecko, musimy się podporządkować, takie są fakty i nic na to nie poradzimy”.

Przez wiele godzin płakałam. Chciałam umrzeć, prawie nic nie jadłam i wymyślałam najgorsze scenariusze. Żeby jednak odegnąć te straszne myśli, próbowałam przekonać samą siebie, że Niemcy mnie tylko repatriują.

W końcu nadszedł decydujący dzień. Kazano mi się spakować i zabrać z sobą jedzenie na czterdzieści osiem godzin. Tego dnia aresztowano w sumie trzy zakonnice z naszej wspólnoty: moją kuzynkę

Therese Martel, która stała się siostrą Saint-Jean-de-Brebeuf, i Evę Tremblay, czyli siostrę Marie-Wilbrod, i mnie.

Przyjechała ciężarówka, która zawiozła nas do merostwa Rennes, bo podczas okupacji jego budynek stał się jedną z głównych kwater niemieckiej armii. Obiecałyśmy sobie, że zawsze będziemy trzymały się razem. Nie odstępowałam więc moich towarzyszek niedoli na krok. Miałam jeszcze nadzieję, że nastąpiła pomyłka co do osoby i odeślą mnie do domu. Ale po sprawdzeniu dokumentów poinformowano nas o miejscu naszego przeznaczenia i wręczono pismo w języku niemieckim, z którego rozumiałam jedynie moje nazwisko, miejsce urodzenia i numer paszportu.

Mój niepokój stale rósł. Zdaniem Therese i Evy Niemcy mieli nas wysłać do obozu internowania. Zapytałam więc innych aresztowanych, co to znaczy, i dowiedziałam się, że wysyła się tam więźniów i zmusza do pracy.

O piętnastej przed merostwo zajechała ciężarówka, która miała nas zabrać. Usiadłyśmy we trzy jak najdalej od Niemców, na drewnianej ławce na samym tyle, powtarzając sobie, że nie mogą zobaczyć naszych łez! Odczuwałam nieukojony ból i nie potrafiłam opanować drżenia. Razem z kuzynką tak mocno trzymałyśmy się za ręce, że aż krew nie mogła swobodnie przepływać w naszych żyłach.

Nagle jakaś kobieta wstała i próbowała wyskoczyć z rozpędzonej ciężarówki. Jeden z żołnierzy chwycił ją za ramię i uderzywszy z całej siły kolbą w zębra, zmusił, żeby z powrotem usiadła. Moje drżenie się nasiliło. Schowałam głowę pod welon, żeby już niczego więcej nie widzieć. Siostra Marie-Wilbrod wzięła mnie w ramiona i próbowała uspokoić. Była opanowana i nie płakała. Zastanawiałam się, jak ona to robi, bo przecież tak jak ja po raz pierwszy w życiu spotykała się z tak skrajną przemocą.

Po drodze ciężarówka zatrzymała się, żeby zabrać kolejnych więźniów, a wśród nich siedemdziesięciodwuletnią Francuzkę, aresztowaną tylko dlatego, że wyszła za męża za Brytyjczyka; dla oprawców nie miało znaczenia, że już od dawna była z nim rozwiedziona.

W większości ludzie nie rozumieli swojej sytuacji i wyglądali na sterroryzowanych. Żołnierze przez cały czas trzymali broń skierowaną w naszą stronę i nie spuszczali nas z oka.

Przyjechaliśmy na dworzec, gdzie czekał na nas pociąg. W otwartych drzwiach pierwszego wagonu ustawiono ogromny karabin maszynowy. Drzwi pozostałych wagonów były zapieczętowane, a wywietrzniki zabezpieczone drutem kolczastym. Kazano nam wsiąść do jednego z tych wagonów i koło siedemnastej pociąg powoli ruszył. Byłam

wyczerpana i myślałam o moich braciach i ojcu w Saguenay. O tym, co mnie spotyka, nie wiedzieli absolutnie nic! Ale niby w jaki sposób mogliby mi pomóc?

Jechaliśmy pięć nocy i cztery dni. Kilka razy się przesiadaliśmy i w końcu straciliśmy poczucie czasu i miejsca, a żołnierze przez cały czas ładowali na wagony kolejnych więźniów.

Pod koniec trasy w naszym wagonie znajdowało się mniej więcej siedemdziesiąt osób stłoczonych w warunkach urągających wszelkim zasadom higieny. Bywało, że przez ponad dwanaście godzin nie mieliśmy możliwości oddania moczu. To, co nieuniknione, w końcu następowało i wielu aresztowanych siusiało tam, gdzie stali. Inni dostali biegunki.

Wreszcie pociąg się zatrzymał się na czymś, co przypominało stację przeładunkową dla zwierząt. Był środek nocy, zewsząd dochodziły nas krzyki i odgłosy żołnierskich butów. Nie wiedzieliśmy, co się z nami stanie.

Wczesnym rankiem kazano nam wysiadać. W sześćoosobowych szeregach, eskortowani przez Niemców, szliśmy wojskowym krokiem po obu stronach drogi niczym prawdziwi lunatycy. Od wielu dni prawie nie spaliśmy. Nieliczni ludzie, których spotykaliśmy, dziwili się na nasz widok i szeptali: „To już aresztują nawet zakonnice!”.

W końcu dowiedzieliśmy się, że jesteśmy w koszarach Vauban w Besancon.

Większość tutejszych więźniów pochodziła z Ameryki, i byli aresztowani tylko z tego powodu krótko po wybuchu wojny. Spotkałyśmy też innych obywateli Wspólnoty Brytyjskiej. Później dowiedziałam się, że internowano tu dwa tysiące czterysta kobiet, przede wszystkim pochodzenia brytyjskiego, a wśród nich sześćset zakonnice. Tę cytadelę wzniesiono dla wojska, nie dla nas.

Żołnierze skierowali nas do budynku B, gdzie miałyśmy znaleźć sobie miejsce do spania. Za łóżka służyły nosze i wszyscy starali się wyszukać w miarę czyste, a potem kładli na nich materace wyciągnięte ze stosu piętrzącego się przy wejściu do budynku. Nasza grupa wybrała sobie miejsce na uboczu, w samym kącie. I choć byłyśmy wyczerpane, nie przeszkodziło nam to w odmówieniu pełnej nadziei modlitwy, po której natychmiast usnęłam.

Z samego rana obudziły nas rozkazy wydawane przez megafony. Kazano nam udać się po jedzenie. Było zbyt mało naczyń, żeby wystarczyło dla wszystkich, ale jakoś poradziłyśmy sobie, myjąc menażki znalezione przy poidłach dla koni. W końcu i tak miałyśmy tylko prawo do napoju w podejrzanym kolorze, który nie miał nic wspólnego ani z kawą, ani z herbatą. W południe dostałyśmy do jedzenia przemarzniałe warzywa, między

innymi ziemniaki i rzepę. Z kolei na kolację - sos polany stróżką krwi jakiegoś zwierzęcia. Na widok takiego jedzenia dostałam mdłości, osłabłam i z płaczem osunęłam się na ziemię.

Siostra Marie-Wilbrod pomogła mi wstać. Pocięła mnie, jak umiała, i dodała, że powinnam starać się być silna, bo to dopiero początek naszych katuszy. Ale nikt nie wiedział, jak długo pozostaniemy w obozie. Jak więc miałam znaleźć motywację i czekać, aż ta udręka się skończy?

Mój nowy adres brzmiał: Frontstalag 142. Wielu więźniów wyczerpywało oczekiwanie w długich kolejkach po marne jedzenie, odnotowywano więc średnio piętnaście zgonów dziennie spowodowanych niedożywieniem. Trzy razy na dobę czekaliśmy na dworze przez długie godziny, podczas gdy wilgoć i zimno przenikały nas do szpiku kości. Ale ja uważałam, że i tak mam szczęście, bo strój zakonniczy nieco lepiej chronił mnie przed zimnem niż ubrania pozostałych internowanych. Co prawda odebrano nam czepki, ale zachowałyśmy welony i opaski na głowę.

Obóz zaczęła pustoszyć dyzenteria. Toalety znajdowały się na dworze i wielu udających się tam chorych spadało ze schodów i na miejscu umierało.

W salach nosze stały jedne przy drugich i taka bliskość innych więźniów dla mnie była bardzo dokuczliwa. Czasami bijący od nich smród był nie

do zniesienia i miałam od niego mdłości. Mieliśmy do dyspozycji bardzo niedużo wody do mycia, poza tym była lodowata i nie mieliśmy odwagi nawet się rozebrać.

Po kilku dniach pobytu w obozie zauważyliśmy, że w materacach aż roi się od pluskiew. W takich warunkach spanie stało się praktycznie niemożliwe. Rozgoryczona, bezustannie zastanawiałam się, kiedy wreszcie ten koszmar się skończy. Ale choć byłam u kresu sił, pocieszałam się, że jestem zdrowa, a inni więźniowie mnie potrzebują.

Żołnierze wyznaczyli nam pewne obowiązki. Siostra Marie-Wilbrod i ja miałyśmy roznosić chorym lekarstwa. Pomagałyśmy w tym doktorowi Giletowi, także internowanemu. Co wieczór zaglądałyśmy do wszystkich budynków z pudełkiem zawierającym tabletki na ból gardła, mazidło na obolałe mięśnie i pigułki z rabarbaru na zaparcia. Ta praca dobrze na mnie wpływała, bo choć na chwilę odpędzała czarne myśli. Co wieczór czekałam na ten moment, kiedy wreszcie mogłam się poczuć przyteczna.

Niekiedy w czasie obchodu niemieccy żołnierze próbowali z nami porozmawiać, gdyż zapewne widok uwięzionych zakonnic wywoływał w nich wyrzuty sumienia. Pokazywali nam fotografie swoich dzieci, ale wtedy natychmiast podchodzili inni, co kończyło wszelkie próby nawiązania kontaktu.

Któregoś wieczoru jeden z nich poprosił, żebyśmy dały mu coś na ból gardła. Siostra Marie-Wilbrod poradziła mu, żeby poszedł do niemieckiej pielęgniarki. Mogła mu pomóc, ale za bardzo się bała konsekwencji. „W naszej sytuacji ostrożności nigdy dosyć”, powiedziała. Kiedy tuż przed wieczornym sygnałem wróciliśmy z obchodu, Niemcy liczyli więźniów i grzebali w naszych materacach, żeby upewnić się, czy nie schowaliśmy tam broni.

Od czasu do czasu przynosili nam kawałek chleba i niewątpliwie uznawali to za przejaw ogromnej wielkoduszności wobec nas. Mimo że chleb był twardy jak kamień, w kolorze popiołu i nadpleśniały, zjadałyśmy go. Za bardzo dokuczał nam głód. Wysyłane przez wspólnotę paczki z żywnością rzadko do nas docierały.

Ponieważ nie potrafiłam przestać pisać, nadal prowadziłam dziennik, ale bałam się, że żołnierze go znajdą. Często o zbliżającej się rewizji uprzedzali nas inni więźniowie, chowałam go wtedy w fałdach sukni. Moja kuzynka i niektóre więźniarki ostrzegały mnie o możliwości represji, jeżeli Niemcy go znajdą. Były bowiem świadkami różnych okrutnych kar za wykroczenia o wiele mniej poważne. Ale ja nie przywiązywałam wagi do ich słów, bo pisanie było dla mnie najważniejsze.

Pewnego dnia w obozie pojawiło się pięćdziesiąt nowicjuszek ze zgromadzenia małych sióstr

ubogich. Najstarsza z nich zwróciła się do komendanta z prośbą o posługę duchownego. Kilka dni później przysłano nam księdza, też internowanego. Od tego momentu codziennie uczestniczyliśmy w mszy, która była dla nas wielką pociechą i pomagała znosić niewolę. Ustawiliśmy małą kapliczkę i mogliśmy także w ciągu dnia pomodlić się przez chwilę. Ponieważ komendant był katolikiem, 25 grudnia 1940 roku dostaliśmy zgodę na odprawienie o północy pasterki. Stawili się na niej też niektórzy żołnierze.

Nad naszym losem czuwał Czerwony Krzyż, starając się przede wszystkim zapewnić nam rozrywkę, tak że dostarczał nawet karty do gry. Od czasu do czasu też zdarzały się alarmy ogłaszane wyciem syren, a wtedy żołnierze natychmiast biegli do schronów, my zaś musieliśmy zostać na miejscu. Żeby dodać sobie odwagi, powtarzaliśmy sobie, że alianci nas nie zbombardują.

W styczniu 1941 roku przyjechała delegacja Czerwonego Krzyża z Genewy w celu zwizytowania obozu. Spotkała się z władzami, potem sporządziła przytłaczający raport na temat warunków higienicznych, w jakich nas przetrzymywano. Żeby wywrzeć presję na przeciwniku, Winston Churchill zagroził deportacją do Kanady wszystkich Niemców internowanych w Wielkiej Brytanii. I ta groźba została potraktowana poważnie, bo dwa miesiące

później z bagażami w garści wyruszyliśmy do lepiej urządzonego obozu w Vittel w Wogezach. Niemcy zarekwirowali tam wiele hoteli i wywieziono nas do jednego z nich.

Vittel było uzdrowiskiem znanym z wód, w którym internowano dwa tysiące osób, głównie Amerykanów, Rosjan, Brytyjczyków, ale także Żydów z Polski i Austrii, posiadających brytyjskie i amerykańskie paszporty, oczywiście fałszywe. Miałyśmy zatem nowy adres: Frontstalag 121.

Teren był ogrodzony drutem kolczastym do wysokości sześciu metrów i biada temu, kto spróbowałby go sforsować. Ponieważ przeprowadziliśmy się do dużego hotelu, musieliśmy wszyscy poddać się dezynfekcji. Przez kilka dni prysznicze funkcjonowały bez przerwy. Głównie należało pozbyć się pluskiew, które przywieźliśmy w bagażach, bo od tej pory spaliśmy w czystych łóżkach z pościelą. Mieliśmy do dyspozycji naczynia stołowe i zadbane pomieszczenia i byliśmy przekonani, że to Bóg wziął sprawy w swoje ręce. Jakość jedzenia niezupełnie się zmieniła, mimo że do jadłospisu dodano kiszoną kapustę, ale była ona tak słona, że nie dawało się jej zjeść.

Życie w Vittel było łatwiejsze. Obok hotelu znajdowały się różne urządzenia służące do ćwiczeń, a nawet można było pograć w tenisa czy siatkówkę. Ja wraz z kuzynką nabrałam zwyczaju

przechadzania się po południu po hotelowych ogrodach. To właśnie podczas jednego z takich spacerów po raz pierwszy usłyszałyśmy o skrajnej nienawiści Hitlera do narodu żydowskiego. Pewnego dnia podeszła do nas zaledwie czternastoletnia dziewczynka o imieniu Anny. Powiedziała, że i ona, i jej krewni są Amerykanami mieszkającymi we Francji. Jej matka trafiła do szpitala, bo właśnie urodziła dziecko, a obok niej leżała Austriaczka, która też niedawno urodziła i bez przerwy płakała i wyglądała na zrozpaczoną. Płakała dlatego, że jest sama. Całą jej rodzinę wywieziono do obozu koncentracyjnego, a mąż pomógł jej ukryć jej żydowską tożsamość i zdobyć fałszywe papiery dla niej i dla niemowlęcia. Teraz bała się, że żołnierze odkryją jej prawdziwe nazwisko, zabiorą jej dziecko, a ją samą wyślą do obozu. Młodziutka Anny myślała, że my, zakonnice, mamy więcej mocy niż ludzie świeccy. Z całą naiwnością swoich czternastu lat poprosiła nas, żebyśmy wzięły to maleństwo i przekonały Niemców, że jego rodzice nie żyją. Była przeświadczona, że ponieważ jest tutaj sporo dzieci, żołnierze uwierzą w tę historię. Musiałam jednak wytłumaczyć Anny, że my też jesteśmy więźniami i że zakonnice nie mogą zajmować się dziećmi. Ale ona nie chciała tego słuchać. Upierała się i upierała, i żeby nas przekonać, opowiedziała o tym, jak Niemcy traktują Żydów.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam o rzeczach nie do pojęcia.

W niektórych obozach koncentracyjnych, opowiadała Anny, kazano więźniom - starcom, kobietom i dzieciom - zdjąć ubrania, przekonując ich, że mają iść pod prysznic. Kiedy już byli zamknięci w budynku, zabijano ich przy użyciu śmiertelnościanego gazu. Ponieważ historia ta wydała mi się nieprawdopodobna, nie uwierzyłam w ani jedno jej słowo. To wykraczało poza moje rozumienie. Przecież to niemożliwe! Nie chciałam tego więcej słuchać, chciałam odejść, było mi niedobrze. Zebrałam się więc w sobie, chwyciłam kuzynkę pod ramię, a potem powiedziałam dziewczynce, nawet na nią nie patrząc, że musimy już iść i niestety nie możemy jej pomóc.

Szybkim krokiem skierowałyśmy się do naszego budynku. A historia ta tak mną wstrząsnęła, że nie miałam odwagi zapytać innych zakonnice, czy do nich też docierały opowieści o takich potwornościach. Jeżeli bowiem była prawdziwa, nie chciałam słyszeć innych, by zachować siły na przetrwanie i nie ulec własnemu tchórzostwu, które od tej pory mogłoby zatruwać mi myśli.

W maju zaczęła krążyć pogłoska, że Kanada upomina się o swoich obywateli. Nareszcie dobra nowina! Zajmą się nami nasze władze. Na drzwiach gabinetu komendanta codziennie

wywieszano listę osób, które miały być zwolnione, a my co rano chodiliśmy ją przeczytać. Kiedy pojawiało się na niej nazwisko jakiejś Kanadyjki, wręczano jej bilet kolejowy i natychmiast wyjeżdżała do ojczyzny. Byliśmy szczęśliwe jej szczęściem. Ale moje nazwisko zawsze było pomijane, więc upadałam na duchu coraz bardziej, za każdym razem przeżywając ten fakt jak żałobę. Zresztą nie pojawiło się na niej nigdy.

Pewnego ranka, około godziny dziewiątej do naszego budynku weszło dwóch gestapowców, żeby przeprowadzić rewizję. Znaleźli mój dziennik, przerzucili kartki, a potem mnie zabrali. Trafili na piosenkę, którą ułożył jeden z więźniów kanadyjskich i której bohaterem był Hitler. Na moje nieszczyście zapisałam ją:

*Pewnego dnia pan Hitler
Postanowił w swojej piekielnej głowie,
Że zamknie wszystkich Brytyjczyków
Bez gadania, bez jednego mruknięcia,
Ot tak sobie, bez żadnego innego powodu
W koszarach w Besancon.*

Zanotowałam także, jak nas traktowano. I teraz miałam wrażenie, że aresztowano mnie po raz drugi. A przecież wiedziałam, że pisanie dziennika jest niebezpieczne.

Żołnierze wyciągnęli mnie na dwór, nie dając czasu na pożegnanie się z moimi towarzyszkami niedoli. Konwój do Niemiec, w którym się znalazłam, wyjechał w nocy. Z trudem można było usiąść, tak dużo było ludzi. Jechaliśmy w wagonach towarowych, w których panował odór nie do wytrzymania. Skuliłam się więc w kącie i kawałek sukni użyłam jako maski, żeby nieco złagodzić przyprawiające o mdłości zapachy.

Przez całą tę drogę prowadzącą prosto do piekła bezustannie robiłam sobie wyrzuty. Żaden żal za grzechy nie był w stanie ukoić mojego sumienia. Uważałam siebie za osobę naiwną i nieodpowiedzialną. Z powodu własnego uporu i tego przekłętą dziennika właśnie straciłam wszystko, co było dla mnie ważne, jedyną rodzinę, jaką kiedykolwiek posiadałam - dwie zakonnice, z którymi spędziłam ostatni rok i które wraz z upływem czasu stały się dla mnie kołami ratunkowymi. Byłyśmy sobie naprawdę bliskie, a miało to znacznie większe znaczenie niż fakt, że należymy do tej samej wspólnoty. Uważałam je za swoje siostry w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Rzeczywistość jednak zadała mi cios prosto w twarz. Od tej pory byłam na świecie sama.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo trwała podróż, bo straciłam poczucie czasu. Ale kiedy pociąg się zatrzymał, byliśmy w Niemczech.

ZESZYT TRZECI

PRZYJAZD DO OSTATNIEGO OBOZU

Przyjechałam do obozu, w którym miałam spędzić kolejne cztery lata mojego życia. Zdaniem kobiet więzionych razem ze mną, podróż trwała pięć dni i pięć nocy.

Jeszcze teraz, gdy spisuję tę historię, zastanawiam się, jak można było przeżyć taką gehennę w zamkniętym wagonie. Trzeba było mieć wyjątkowo silny organizm. Na górze wagonu znajdował się mały prześwit, przez który wpływało świeże powietrze. Żeby nikt z więźniów nie mógł wysunąć przezeń ręki i poinformować w ten sposób o naszej obecności, wypełniono go drutem kolczastym. We wsiach, przez które przejeżdżaliśmy, nikt zapewne o nas nie wiedział.

Trafiłam do obozu Buchenwald w Turynгии. Mój nowy adres na kolejne cztery lata brzmiał: Konzentrationslager Buchenwald. Pod koniec wojny dowiedziałam się, że było to ważne centrum przemysłowe, a więźniowie stanowili jego siłę roboczą.

Buchenwald obejmował wiele obozów pracy. Mieściły się w nim między innymi: fabryka produkująca części metalowe, samoloty i amunicję, a także cegielnia. Ja zostałam zatrudniona w wytwórni amunicji.

Było nas około sześciuset kobiet różnych narodowości. Najpierw czekałyśmy w szeregu na ogromnym odkrytym terenie, aż żołnierze sprawdzą obecność. W porządku alfabetycznym wykrzykiwali nazwisko, a potem numer z książki wpisowej. Miałam nadzieję, że ze względu na mój status zakonnicy i znikome znaczenie mojego przestępstwa stwierdzą wreszcie, że zostałam źle skierowana. Ale kiedy usłyszałam zniekształcone moje nazwisko, a także numer z książki, 2074, wiedziałam, że moja ostatnia nadzieja właśnie prysła. Wręczono mi kartę pracy, na której widniała też nazwa fabryki.

Stałyśmy tak na dworze przez trzy długie godziny, ale po tym, co już przeżyłyśmy, wiele kobiet traciło przytomność. Te, które jeszcze jakoś się trzymały, próbowały im pomóc. Mnie dokuczały zawroty głowy i mdłości. Chociaż po wyjściu z pociągu lepiej mi się oddychało i żołądek powoli wracał na swoje miejsce. Próbowałam walczyć z ogarniającą mnie rozpaczą, lecz nawet nie mogłam już płakać, jak gdybym była w środku pusta.

Niepokoiliam si3 i zastanawialiam, jak b3dzie wygladao nasze zycie w obozie. Francuscy wi3znie- wie, ktorzy znali niemiecki, zorientowali si3 z rozm3w zołnierzy, ze b3dziemy pracować w fabrykach zbrojeniowych. Natychmiast mnie to uspokoilo. Wydawało mi si3 jednak dziwne, ze wok3ł nie ma ani baraków, ani budek strażniczych, ani ogrodzenia z drutu kolczastego.

Zaintrygowaly mnie tez tory kolejowe, znikajace za dwiema ogromnymi metalowymi bramami, zamaskowanymi gałeziami. Wygladało na to, ze pociag bez problemu m3gl wjechać do stojacego tam budynku, kt3rego obecności mimo kamuflazu udajacego las można si3 bylo łatwo domyslać.

W pilnowaniu nas zołnierzom pomagaly psy w szarych pelerynkach z wyszytymi literami SS. W tamtych czasach jeszcze wierzyłam, ze psy nie mogą być z natury złe. Ale z powodu tych kostium3w bałam si3 ich tak samo jak zołnierzy. Ten ich str3j sprawiał, ze nabieraly pewnej niesamowitości. Było mi nieskończenie smutno, ze również zwierzęta zostaly wytresowane w taki sposob, zeby w stosunku do ludzi nie odczuwaly zadnej litości.

Po apelu skierowano nas do obozu pracy, kt3rego bramę tez zamaskowano nasypem porostym trawą oraz gałeziami. Zeszlyśmy chyba po dwustu stopniach, zeby wreszcie znaleźć si3 w duzej sali,

gdzie pod okiem żołnierzy miałyśmy się rozebrać. Wiele dziewcząt, ja pierwsza, odmówiło. Wtedy psy zaczęły ujadać i szybko zrozumialiśmy, że nie mamy wyboru.

Nigdy przedtem nie rozebrałam się w obecności jakiegokolwiek osoby. Nie ma potrzeby dodawać, że byłam w najwyższym stopniu zakłopotana. Kręciłam się i kręciłam w miejscu, nie wiedząc, co mam zrobić. Widząc moje zmieszanie, jedna z więźniarek przyszła mi z pomocą. Miała na imię Simone i też pochodziła z Quebecu. Poradziła mi, żebym zaczęła od odzieży spodniej, a dopiero na końcu zdjęła suknię. Dzięki temu krócej będę stała nago. Posłuchałam jej. Najpierw ściągnęłam pończochy, potem bawełniane majtki, ale w najważniejszym momencie ogarnęła mnie panika i zaczęłam dygotać. Powtarzałam bez przerwy, że nie mogę tego zrobić.

Podszedł do mnie żołnierz i w swoim języku, którego nie rozumiałam, rozkazał mi się rozebrać. Już szykował się do uderzenia kolbą karabinu, kiedy Simone dała mu znak, że się mną zajmie, a po cichu powiedziała do mnie: „Musisz pojąć, że tutaj nikt nie ma wyboru. Chociaż rozumiem, że dla ciebie nie jest to łatwe”. Potem podniosła mi ręce, zdjęła suknię i szybko włożyła mi ją w dłonie, żebym mogła chociaż trochę się osłonić.

Gdy już wszystkie byłyśmy nagie, jakieś kobiety, również więźniarki, zaczęły nas golić od stóp

do głów. Kiedy przyszła kolej na mnie, musiały mi najpierw wyrwać suknię z rąk. Poczułam się tak, jakby zabierano mi pancerz, który do tej pory chronił mnie przed światem zewnętrznym. Zaczęłam krzyczeć, ale Simone mocno ścisnęła mnie za ramię i kazała przestać. Powiedziała po cichu, że mam głęboko oddychać, a potem dodała: „Podczas golenia myśl o czymś innym i włoż w to całą swoją energię”.

Ale dotyk obcych dłoni na moim ciele był dla mnie nie do zniesienia. Nawet modląc się ze wszystkich sił do Boga, nie potrafiłam się uspokoić. I nie ja jedna byłam w takim stanie. Wiele dziewczyn się szarpało, za co obrywały kolbą. To, że ogolono mi głowę, tak bardzo mnie nie wzburzyło, bo przeżyłam coś podobnego w dniu składania ślubów. Potem rozdano nam ubrania - sukienki z bardzo grubej bawełny przypominające worki na mąkę, a także parę bardzo zniszczonych butów - i ustawiono nas w grupach po cztery. Simone natychmiast stanęła obok mnie. Bez wątpienia myślała, że bez jej pomocy sobie nie poradzę, i miała rację. Każdej czteroosobowej grupie przydzielono jedną wyszczerbioną menażkę, tak zardzewiałą, że na jej widok miało się chęć wymiotować. Simone zgłosiła się na ochotnika, że pójdzie po naszą porcję. Wróciła z menażką zapełnioną do połowy. Wypiłyśmy kolejno po łyku gęstej szarawej zupy, obrzydliwie pachnącej.

Następnie odprowadzono nas do czegoś, co nazywało się toaletą. Bardziej przygnębiającego widoku chyba nie widziałam. Stałyśmy przed dużym pustym pomieszczeniem z niskim sufitem, na którego środku rozciągały się betonowe bloki z dwiema rzędami dziur. Żeby załatwić potrzebę, trzeba było usiąść na cemencie, ramię w ramię, plecami do siebie, bez żadnej przegrody chroniącej przed spojrzeciami innych. Liczba otworów wydawała się stanowczo za mała na naszą grupę, a niektóre z nich były zabrudzone przez kobiety odwiedzające to miejsce przed nami. Wiele z nas zwymiotowało tę obrzydliwą zupę, jaką przed chwilą przełknęłyśmy, tak odrażający odór tutaj panował.

Takie warunki sprzyjały szerzeniu się zarazków. Wiele więźniarek miało pośladki pokryte krostami, cierpiało z powodu awitaminozy czy przeróżnych infekcji. Co więcej, nie było papieru toaletowego. W kącie pomieszczenia znajdowała się jedna umywalka dla wszystkich, a z kranu ciekł cieniutki strumyk wody.

Jako że już nie miałyśmy na sobie bielizny, powoli zaczynałyśmy pojmować, że w żaden sposób nie poradzimy sobie z krwią miesięczkową, co dodatkowo miało pogorszyć stan naszej higieny. Wiele dziewcząt, a wśród nich ja, czując niemoc wobec nieuniknionego, zaczęło płakać. Nigdy nie sądziłam, że w ciągu zaledwie jednego dnia można

przeżyć takie upodlenie. Zeszłam na dno przerażenia, a moja niewinność została pogwałcona.

Potem udałyśmy się w miejsce, gdzie za kilka godzin miałyśmy podjąć naszą ciężką pracę. Strażnicy pokazali nam, co będziemy robić. W podziemnym obozie produkowano między innymi amunicję do karabinów, pistoletów i karabinów maszynowych, wozów szturmowych oraz miny. Ten zakład znajdował się w pewnym oddaleniu ze względu na ryzyko eksplozji. W sąsiednich salach powstawały części do samolotów bądź elementy z przędzy. Kobiety wytwarzały detale, a mężczyźni dwa piętra niżej, o czym dowiedziałyśmy się nieco później, większe fragmenty.

Widziałam też imponujące maszyny do szycia, które służyły do produkcji szelek i pasów na naboje.

Miejsce to wyglądało surrealistycznie. Przypominało podziemne miasto. Grube mury tłumiły wszelkie dźwięki. Nie słyszałyśmy nie tylko, co dzieje się w pozostałych salach, ale na tej głębokości nie docierały do nas nawet odgłosy bombardowań. Wydawało mi się to dziwne, bo od chwili aresztowania naloty stanowiły część mojego codziennego życia. Na początku wojny świst zrzuconego pocisku sprawiał, że podskakiwałam - bałam się, że umrę. Ale z czasem przestałam aż tak panikować, choć strach przed śmiercią pozostał. Pobyt w tym obozie miał

więc też przynajmniej jedną zaletę: nie słyszałam wybuchów i nie musiałam myśleć o ofiarach eksplozji.

Następnie żołnierze pokazali nam tak zwaną izbę chorych z czerwonymi krzyżami namalowanymi na drzwiach. Mówię „tak zwaną”, bo po kilku tygodniach dowiedziałyśmy się, że był to również przedsiónek śmierci. Kiedy w obozie było zbyt wielu rannych lub należało zrobić miejsce dla kolejnych więźniów, Niemcy wybierali spośród naszych szeregów najsłabszych i tutaj właśnie przyspieszali ich śmierć. Wystarczały do tego zwyczajne zapalenie nerwu twarzewego czy nietypowy dla kobiet porost włosów. Więźniarki, które - załamane swym losem - z dnia na dzień ginęły w oczach, były tam odsyłane pod pretekstem niezdolności do pracy, a ich śmierć poprzez podcięcie żył na nadgarstkach była pozorowana na samobójstwo.

Zwiedzanie obozu nie miało końca i do reszty pozbawiło nas hartu ducha. Simone i ja trzymałyśmy się pod rękę, żeby wzajemnie sobie pomóc w stawianiu jednej nogi przed drugą. Byłyśmy skonane. Wreszcie dotarliśmy do rewiru sypialnego, składającego się z czterech sal oznaczonych literami od A do D. My znalazłyśmy się razem w sali B.

W powietrzu unosił się tu zapach potu, brudu i wilgoci. Każda z nas otrzymała siennik, w którym słoma już od dawna nadawała się do wymiany.

Za całą pościel służyć nam miała czarna szorstka narzuta - jedna na cztery osoby. Nasze prowizoryczne łóżko stało na uboczu, a oprócz nas spać miały na nim Mathilde Perret i Irena.

Mathilde była Francuzką. Nie powiedziała nam, dlaczego została internowana. Nie naciskałyśmy. Była piękna - wyprostowana, dumna, z niebieskozielonymi oczyma i szlachetnymi rysami twarzy. Wysoka i szczupła, nawet bez włosów, wychudzona i w tym paskudnym worku przyciągała spojrzenia żołnierzy. Jej cokolwiek jednak surowa uroda sprawiała, że stanowiła przeciwieństwo Simone, od której biła prawdziwa pocziwość. Simone była raczej niska jak ja, dawniej krągłjsza, o podobnych do moich oczach w kolorze orzechowym. Została aresztowana z tego samego powodu co ja - jej winą była podległość koronie brytyjskiej. Wyszła za mąż za Bretończyka, ale zachowała obywatelstwo kanadyjskie. „Gdybym tylko wiedziała...” - często powtarzała.

Irena była Polką. Po francusku umiała powiedzieć zaledwie kilka słów. Nie wiedziałyśmy więc, dlaczego została aresztowana. Była to wątła dziewczyna o kasztanowych włosach i delikatnych rysach twarzy. Kiedy patrzyła na nas turkusowymi oczyma, wprawiała nas w onieśmienie. Gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy, miałam wrażenie, że potrzebuje opieki, jak ranne zwierzątko. Była

skupiona na sobie i oczywiste było, że nam nie ufa. Trudno nie nawiązać głębszych relacji, kiedy się dzieli jeden siennik. Ale początkowo atmosfera panująca w naszych szeregach budowaniu przyjaźni zbytnio nie sprzyjała.

Przed uśnięciem uklękłam i pochyliwszy głowę, wiele razy powtarzałam zdanie: „To twoja wina, że tutaj jesteś. Inni cię ostrzegali, żebyś zniszczyła ten dziennik!”. Wtedy niespodziewanie Simone wzięła mnie delikatnie za rękę i powiedziała: „Będziemy tu wszystkie bardzo cierpiały. Naprawdę nie musisz jeszcze dodawać sobie bólu”. Uspokoiałam się i w końcu usnęłam, skulona przy jej plecach. Od tego dnia byłyśmy nierozłączne.

CODZIENNE ŻYCIE OBOZU

O godzinie 4.30 obudził nas przeraźliwy świst gwizdka. Wszystkie więźniarki podniosły się z materaców. My musiałyśmy poczekać, aż grupa kobiet z sali A wróci z toalety, dopiero po nich mogłyśmy skorzystać z tych przepastnych otworów. Wczesnym rankiem obrzydliwe zapachy wydawały mi się znacznie trudniejsze do zniesienia niż wczoraj. Dostałam mdłości. Wiele z nas rozchorowało się jeszcze przed wejściem do szaletów.

Chciałyśmy się umyć, ale kolejka była tak długa, a strumyk wody tak cienki, że okazało się to niemożliwe. Trzeba nadrobić to kiedy indziej, bo przecież nie mogłyśmy spóźnić się na zbiórkę. Każde spóźnienie było bowiem traktowane jak poważne przewinienie, a to oznaczało poważne konsekwencje.

Bardzo dokuczał mi brak higieny. Niemcy traktowali nas jak zwierzęta, ale my niestety nie mogłyśmy jak one wylizać się, żeby pozbyć się brudu. Za swoją

misję więc uznaliśmy za znalezienie mydła. Mydło i jedzenie stały się naszymi dwoma priorytetami.

Po powrocie do sal strażnik liczył nas, żeby po raz kolejny upewnić się co do obecności wszystkich. Już pierwszego dnia jedna z dziewcząt, która spała kilka kroków od nas, zmarła. Zorientowawszy się w sytuacji, Irena wślizgnęła się pod nią i korzystając z tego, że strażnik jej nie widział, podniosła ją do pionu. Kiedy żołnierz wywołał nazwisko zmarłej, Irena w jej imieniu krzyknęła: „Obecna!”, aby dostać należną dziewczynie porcję chleba. Potem położyła martwe ciało na ziemi i natychmiast do nas dołączyła.

Zachowanie Ireny wprawiło nas w osłupienie. Skąd miała tyle siły, ona, tak wątła? Nie wiedzieliśmy jeszcze, że zanim Irena trafiła tutaj, była więziona w innym obozie. Poznała więc już sztuczki pozwalające przeżyć. Ale nie tylko my byliśmy zaskoczone. Trzy dziewczyny dzielące siennik ze zmarłą spojrzały na nią ze złością, gdy wreszcie pojęły jej zachowanie. Nie mogły uwierzyć, że ukradła porcję należną jednej z nich z racji dzielenia miejsca.

Po szybkim przełknięciu rozgotowanej kaszy i kawałka szarego chleba zebrałyśmy się w grupy do pracy. Pokazano mi maszynę, przy której miałam stać przez cztery lata, czyli w istocie aż do wyzwolenia.

Moje zadanie polegało na umieszczaniu w pasie nabołów do karabinów maszynowych, wykorzystywanych w lotnictwie. Było to zajęcie niezwykle niebezpieczne. Jeżeli mechanizm mocujący pocisk nie byłby dobrze ustawiony, a ja mimo wszystko nadepnęłabym pedał, drut obejmujący nabój spowodowałby wybuch. Moment nieuwagi i mogłabym zginać. Nie miałam wyboru, musiałam się skupić na pracy.

Byłam niepomierne zdziwiona, gdy usłyszałam gwizdek ogłaszający południową przerwę. Nawet nie zauważyłam, kiedy minął cały ranek; popołudnie upłynęło równie szybko. A przecież pracowałyśmy po dwanaście godzin dziennie! Starając się nie zrobić sobie krzywdy, mimo woli wprowadzałam w życie radę daną mi przez Simone: „Kiedy cierpisz, zajmij umysł czymś innym. Dzięki temu będzie mniej bolało”.

Pod koniec zmiany zdarzały się jednak chwile, że oczy same mi się zamykały. Wtedy, dając znak ręką, prosiłam o pozwolenie wyjścia do toalety, gdzie ochlapywałam sobie twarz zimną wodą, co przynosiło spodziewany rezultat, a przy okazji dużo piłam. W tych godzinach przy umywalce nie było prawie nikogo. Być może inne więźniarki krępowwały się poprosić o wyjście, ale ja się ośmieliłam. Najgorszą rzeczą, jaka mogła mnie spotkać, była przecież odmowa.

Podczas wieczornego apelu i liczenia musiałyśmy stać nieruchomo, co przeciągało się nawet do dwóch godzin. Pomagałyśmy sobie wtedy nawzajem, żeby utrzymać się na nogach. Pamiętam, że zastanawiałam się czasem, dlaczego tę procedurę powtarzano dwa razy dziennie, skoro nikt nie mógł z obozu uciec. Aż w końcu Mathilde wyjaśniła mi, o co chodzi. Trzeba było policzyć tych, którzy właśnie zmarli, żeby nie wydawać jedzenia na darmo...

Na kolację dostawałyśmy coś, co nazywało się racją żywnościową: trzy centymetry chleba w tym samym kolorze co rano, czasami spleśniałego, i ociupinę margaryny; raz na tydzień łyżkę marmolady. Na początku nie zauważałam, że chudnę, bo nigdzie nie było lustra. Zdawałyśmy sobie jednak sprawę, że nasze towarzyszki stają się coraz bardziej podobne do szkieletów. Na wszelkie sposoby starałyśmy się znaleźć trochę pożywienia. Pod tym względem upodobniłyśmy się już do Ireny - dla kawałka chleba byłyśmy gotowe na wszystko.

W pierwszym tygodniu Simone zgłosiła się na ochotnika, że pójdzie do kuchni po gar z kaszą. Do przetransportowania go trzeba było czterech kobiet, bo dla jednej nawet pusty był zbyt ciężki. Któryś z żołnierzy zauważył, że Simone stara się być przydatna w przygotowywaniu posiłków, i po kilku tygodniach otrzymała związaną z tym funkcję.

Esesmani oddelegowywali wybranych więźniów do wykonywania zamiast nich pewnych rutynowych czynności. Dlatego niektóre kobiety pracowały na przykład w administracji, magazynach, zaopatrzeniu, kuchni i punkcie opatrunkowym. Simone przydzielono do kuchni. A kilka tygodni później Mathilde została odpowiedzialna za zaopatrzenie. Było to ważne stanowisko, i w dużej mierze zawdzięczała je temu, że dosyć dobrze mówiła po niemiecku.

Dzięki swej nowej funkcji Simone miała prawo wchodzić do kuchni i wynosiła dla nas dodatkowe kawałki chleba albo ziemniaki. Któregoś dnia przemyciła nawet ukradziony po prostu przez siebie i zawinięty w starą szmatkę kawałek kiełbasy. Na początku miała poczucie winy, że tymi skarbami dzieli się tylko z nami, ale Mathilde szybko przywróciła ją do rzeczywistości. „Posłuchaj - powiedziała. - Jeżeli dzięki tym małym dodatkom nabierzemy sił, to lepiej pomożemy innym dziewczynom wybrnąć z tarapatów". Wybrnąć! Niektóre z nas bowiem przestawały już wierzyć, że to piekło można przeżyć. Na szczęście nasz siennik stanowił zżyłą grupę i tylko dzięki temu nie wpadłyśmy w depresję. W zasadzie dzięki wzajemnemu wsparciu stawiłyśmy opór rzeczywistości.

Każdego wieczoru przed zaśnięciem rozmawiałyśmy o tym, co wydarzyło się w ciągu dnia. Jeżeli

któraś z nas przeżyła moment rozpacz, już nie musiała znosić jej sama - pewną jej część brały na siebie trzy pozostałe. Całą tę groźbę w dużej mierze przetrwałam tylko dzięki nim - Simone, Mathilde i Irenie. Te trzy wspaniałe kobiety nauczyły mnie, jak być silną, przekazały mi swoją pasję życia i dodawały odwagi. Osoby, które po przyjeździe do obozu bez przerwy powtarzały: „My tutaj umrzemy” - niemal bez wyjątku rzeczywiście zginęły. Te zaś, które z uporem utrzymywały: „Nie damy się. Wyjdziemy stąd żywe!” - w większości przetrwały.

Oto portrety kobiet, z którymi spędziłam najgorsze chwile mojego życia.

Simone

Od razu po przyjeździe do obozu zdałam sobie sprawę, że Simone ma niewyobrażalnie silny charakter. Niemcom posyłała takie spojrzenia, że mógłby od nich zdrzeć najokrutniejszy z katów. Ale równocześnie była uosobieniem dobroci i nigdy nie pozostawała obojętna na los innych ludzi. Na swoje barki wzięła odpowiedzialność za nasze cztery żołądki i stale myślała wyłącznie o tym, jak zdobyć dodatkowe pożywienie. Umiała znaleźć choćby małe pocieszenie, aby złagodzić piekło życia codziennego.

Któregoś dnia wyszukała w kuchni kawałki tektury, które po jednym chowała pod sukienką

i przemycała, a potem układała je pod siennikiem, żeby izolowały nas od wilgotnego betonu.

Urodzona w Trois-Rivieres, Simone wyszła za mąż za Bretończyka Leona Bocage'a. „Mojego Leona”, jak często mawiała. Leon poznał Simone, przyjaciółkę swojej szwagierki, podczas podróży do Montrealu, gdzie wybrał się w odwiedziny do swojego brata, Paula. Bocage'owie otrzymali w spadku rodzinną cukiernię w wiosce Hede, leżącej dwadzieścia cztery kilometry od Rennes, i Paul przekazał ją bratu, a sam postanowił zamieszkać w Ameryce. Kiedy Simone poznała Leona, miała dwadzieścia pięć lat, a on - dwadzieścia dziewięć. Jako osoba samotna i bez zobowiązań bez namysłu rzuciła wszystko dla niego i pojechała za nim do Europy.

Tu wzięli ślub i razem prowadzili cukiernię. Zostali rozdzieleni nagle. Ponieważ Niemcy wiedzieli, że Leon był świetnym fachowcem, zmusili go do pracy w kuchni ich kwatery głównej w Rennes. Przed wyjazdem jednak Leon kazał przysiąc Simone, że zrobi wszystko, by tę wojnę przeżyć, podobnie zresztą jak on.

Bardzo dobrze rozumiałam siłę ich uczucia, bo od pierwszej chwili naszej znajomości Simone była dla mnie podporą. Stała się moją starszą siostrą. Potrzebowałam jej dobroci i zaradności, przy niej czułam się bezpiecznie. Zanim się czegokolwiek

podjęłam, zawsze szukałam jej aprobaty. Poza tym dzięki swemu poczuciu humoru umiała oddramatyzować wydarzenia minionego dnia.

Trzeba przyznać, że sporo czasu musiało upłynąć, byśmy znowu mogły się śmiać. Te pierwsze uśmiechy zaś zawdzięczamy przede wszystkim Simone. Kpiła sobie z żołnierzy, nazywając ich pocziwymi chłopami. Wymyśliła nawet hasło ostrzegające o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Jako że znała się na wypieku ciast, zdecydowała, że bardzo dobrym sygnałem będzie „rosyjska szarlotka”. My jednak uznaliśmy, że dwa słowa to stanowczo za wiele, i jednogłośnie wybrałyśmy szarlotkę.

Skądinąd prawie każdy materac miał własny kod. Kiedy tylko jakiś żołnierz podchodził zbyt blisko, można było usłyszeć, jak więźniarki szepczą do siebie nazwy kolorów, liczby i tak dalej.

Simone odgrywała w naszym obozowym życiu tak ważną rolę, że gdy tylko dopadało ją zniechęcenie, dotykało ono również nas. Czekaliśmy wtedy niecierpliwie, aż odnajdzie swoją radość życia, aż wróci jej siły witalne, a także czarny humor. Jej grzech łakomstwa był dla nas ratunkiem. Bo właśnie z jego powodu Simone często podejmowała wielkie ryzyko, żeby wyszukać nam jakieś skarby - bywało, że na talerzach oficerów.

Kiedy dzieliłyśmy się jedną marchewką, Simone mówiła: „Dziewczyny, wyobraźcie sobie:

marchewkę często podaje się z kurczakiem polanym sosem, z ragout z wołowiny, a można ją także utłuc z ziemniakami". I wtedy do ust ciekła nam ślina. A ponieważ obie pochodziłyśmy z Quebecu, Simone i ja bardziej śliniłyśmy się na myśl o ragout z wołowiny. Irena wolała puree z ziemniakami, natomiast Mathilde - kurczaka w sosie.

Mathilde

Mathilde - członkini ruchu oporu, tajemnicza, nietykalna, o dużych możliwościach intelektualnych. Nigdy nie powiedziała słowa za dużo i zawsze, zanim zabrała głos, dobrze przemyślała, co chce powiedzieć. Większość czasu spędzała na obserwowaniu i analizowaniu, szukaniu sposobów odwrócenia uwagi żołnierzy. Charakteryzowała ją fenomenalna pamięć - miała w głowie dyżury i rysy twarzy wszystkich strażników. Posiadała też dar bezbłędnego wskazywania wśród nich tego, który był najbardziej ludzki. Znała podstawy niemieckiego i często prosiła nas, żebyśmy zamilkły, bo chciała lepiej słyszeć ich rozmowy.

Przed zgoleniem nam głów miała włosy w kolorze złocisty blond. I byłam niemal pewna, że przed aresztowaniem była bardzo elegancką kobietą.

To niewątpliwie z powodu tych licznych walorów zatrudniono ją w pionie administracyjnym obozu. Jej zadanie polegało na ewidencjonowaniu

produkowanych towarów. Kontaktowała się zatem z ludźmi na zupełnie innym poziomie hierarchii - z oficerami.

Mathilde została zatrzymana w Nancy, swoim rodzinnym mieście, za udział w ruchu oporu. Była nauczycielką historii i to właśnie w jej liceum Niemcy ją aresztowali. Była osobą samotną i w każdą niedzielę odwiedzała rodziców. Gdy plotki o wybuchu wojny stały się głównym tematem rozmów także w jej domu, Mathilde, która do tej pory nie interesowała się polityką, zaczęła uważniej słuchać ojca, uczestnika walk w latach 1914-1918. Zajęcie zaś przez Niemców Paryża już tylko potwierdziło w niej konieczność zadania sobie podstawowych pytań.

Do działania pchnęło ją ostatecznie samobójstwo znajomej ojca - alzackiej Żydówki, od wielu lat ich sąsiadki, która w liście tłumaczyła, dlaczego strzeliła sobie w głowę. Myśl o tym, że wpadnie w ręce nazistów, była dla niej nie do zniesienia. Wprawdzie Hitler nie wydał wtedy jeszcze rozkazu dotyczącego ostatecznej eksterminacji narodu żydowskiego, ale w Dachau i Oświęcimiu obozy już funkcjonowały, a znajoma ojca wystarczająco dużo o nich słyszała od swoich przyjaciół, którzy stracili w nich niemal całe rodziny.

Jej mieszkanie stało się miejscem spotkań zwolenników armii cieni, jak nazywano członków

ruchu oporu. Bo chociaż wcześniej Mathilde nie była przekonana, iż jednostki mogą mieć wpływ na przebieg wojny, to w końcu doceniła znaczenie przeprowadzania małych akcji.

Przydzielono jej rolę łącznika. Była świadoma grożącego jej niebezpieczeństwa, gdy na oczach przechodniów, w miejscu publicznym musiała dyskretnie, czasami bez słowa, przekazać komuś karteczkę z wiadomością albo rozkaz zaszyfrowany w gazecie. Cieszyła się jednak, że nie musi robić tego, co wulgarnie nazywano kolaboracją horyzontalną, a co nie zawsze nią było. Zdarzało się bowiem, że kobiety, które nie miały żadnych zahamowań natury moralnej, utrzymywały z Niemcami stosunki seksualne, aby zdobyć ważne informacje albo po prostu kogoś uratować i tak wesprzeć ruch oporu, jeśli nie było już innych sposobów.

W końcu jednak Mathilde dołączyła do tych kobiet. To właśnie dlatego, że wystawiała się na niebezpieczeństwo, mogliśmy wreszcie wyjść z ciemności.

Irena

Ciemności. To słowo doskonale pasowało do Ireny, którą cechowały zarazem dziecięca niewinność i nadzwyczaj silny instynkt przetrwania. Irena potrafiła bez słowa znieść każde cierpienie i była to jej największa siła. To ona była opoką, na której

wzniosłyśmy nasz mur obronny. I bardziej niż ktokolwiek inny zasługiwała, żeby wyjść z tego cało. Dobrze wiedziałyśmy, że przeżycie obozu nie ma nic wspólnego z zasługami, ale fakt, że udało jej się przetrwać takie potworności, oznaczał dla nas zwycięstwo nad poniżeniem i nadawał sens latom spędzonym w tej norze.

Irena urodziła się w Poznaniu. Jej ojca aresztowano podczas jednej z pierwszych łapanek na Żydów i nigdy go już nie zobaczyła. Przez jakiś czas razem z mamą i młodszą siostrą zajmowała tam małe mieszkanie. Ponieważ jednak Niemcy regularnie organizowali transporty Żydów, pewnego dnia postanowiła razem z kilkoma przyjaciółmi ukryć się na wsi, u wujka, i przeczekać najgorsze w nadziei na to, że wszystko wróci do normalności, a przemoc się skończy. Po kilku tygodniach spędzonych na wsi, gdzie nikt jej nie niepokoił i gdzie głód jej nie dokuczał, Irena zdecydowała się wrócić do miasta, sądząc, że niebezpieczeństwo już minęło. Był to dzień świętej Ireny, dzień jej urodzin. Kończyła wtedy dwadzieścia jeden lat i miała nadzieję, że mama czeka na nią z przyjęciem. Ale mamy nie było w domu. Irena postanowiła więc przygotować przyjęcie sama.

Nagle w mieszkaniu pojawili się esesmani, oświadczając, że jej rodzina daje schronienie Żydom. Irena odpowiedziała, że to nieprawda. Wście-

kli żołnierze zaczęli wywracać wszystko do góry nogami. W końcu zabrali ją na komendę, gdy nie chciała zdradzić, kim są osoby na znalezionym przez nich zdjęciu.

Na klatce schodowej Irena pierwsza dostrzegła wracającą z miasta mamę i szesnastoletnią siostrę i natychmiast dyskretnie dała im znak, żeby nie zdradziły się, że ją znają. Mama zaczęła cicho płakać i mocno ścisnąwszy dłoń młodszej córki, pociągnęła ją schodami w górę, mijając drzwi do ich mieszkania, by nie wzbudzać podejrzeń esesmanów.

Irena trafiła najpierw do kwatery głównej, a potem za odmowę podpisania jakichś dokumentów przeniesiono ją do więzienia miejskiego. Trochę później przyszła ją tam odwiedzić mama. Przyniosła jej koc i poduszkę. „Będiesz mogła na tym usiąść, kiedy będzie ci zimno albo jak będą cię bolały plecy” - powiedziała.

Przez pierwsze trzy dni po aresztowaniu dużo płakała, czuła się tak odrętwiała, jak gdyby z zewnątrz obserwowała wszystko to, co przeżywała. Wszystkie tego doznałyśmy.

Wywieziono ją wtedy do obozu pracy w Monowicach, wchodzącego obok obozu zagłady Brzezinka w skład otwartego w 1940 roku kompleksu oświęcimskiego. Tam dzięki więźniarce pochodzącej także z Poznania Irena uniknęła śmierci, gdy

jeden z dowódców SS postanowił dla kaprysu wysłać do krematorium wszystkich Żydów z cyfrą 7 w wytatuowanym na ramieniu numerze identyfikacyjnym. Irena miała numer 24215, ale jedynek wytatuowano jej z dłuższą górną kreską, przez co wyglądała jak 7. Znalazła się więc wśród skazańców. Na szczęście kobieta zajmująca się spisem ludzi zamkniętych w obozie znała Irenę i natychmiast poszła do oficera, by udowodnić mu, że to, co Irena ma na ramieniu, to nie siódemka, bo cyfra nie ma poprzecznej kreseczki. Esesmani sprawdzili w księdze, stwierdzili pomyłkę, a Irena w ten sposób ocalała.

W pierwszych dniach pobytu w naszym obozie była raczej nieufna. Ale w końcu, choć jako ostatnia, opowiedziała nam swoją historię i nawet pokazała wytatuowany na ramieniu numer, co było dość ryzykowne, gdyż znalazła się pośród nas w wyniku błędu popełnionego podczas przewózki więźniów. Irena była naszym skarbem, więc strzegłyśmy jej na okrągło. Pilnowaliśmy, aby tatuaż był zawsze dobrze zakamuflowany pod warstwą błota, a jeśli jakiś żołnierz zbyt blisko do niej podchodził, na wszelkie sposoby starałyśmy się odwrócić jego uwagę.

Ale prawdziwym aniołem stróżem Ireny została Mathilde, która wykorzystywała wszystkie swoje wpływy, by ułatwić jej przetrwanie w obozie. Udało jej się nawet załatwić zmianę przydziału Ireny, bo

praca, którą Polka wykonywała - pakowanie broni - była wyczerpująca.

Trzeba powiedzieć, że wśród więźniarek istniała pewna hierarchia. Mathilde, która była Francuzką i znała niemiecki, znajdowała się na samym jej szczycie. Potem była kolej na nas dwie, Simone i mnie, poddane korony brytyjskiej, i w końcu na wszystkie pozostałe, z wyjątkiem Żydówek, które nie mieściły się w żadnej kategorii. Dzięki Mathilde Irena tak jak ja zszywała pasy i umieszczała na nich pociski do karabinów maszynowych. Mathilde dokonała czegoś jeszcze - za zgodą dwóch oficerów nazwisko Ireny (a później i nasze) usunięto na stałe z loterii śmierci.

DNI SPECJALNE

W obozie straciłyśmy poczucie czasu. Naszym jedynym punktem odniesienia był dzień urodzin Hitlera, 20 kwietnia, bo wtedy miałyśmy prawo do jednego plasterka kiełbasy. Cóż za wspaniałośćomyślność z jego strony! Dzięki temu wiedziałam, od ilu lat jestem zamknięta.

Mimo że otaczał nas terror, pojawiła się też rutyna. Z początku odnosiłyśmy wrażenie, że nasi strażnicy interesują się przede wszystkim produkcją broni. Ale w drugim roku mojej niewoli stali się wobec nas bardziej brutalni. Musiał istnieć jakiś powód tej zmiany. Na początku wojny, tłumaczyła nam Mathilde, niemiecka armia wierzyła w zwycięstwo. Teraz zaś z powodu ogromnych strat w ludziach na wszystkich polach bitew jej sytuacja się pogorszyła i odbijała na morale żołnierzy. Nikt jednak nie dopuszczał do siebie możliwości, by Hitler przegrał, powtarzając klęskę Niemców w pierwszej wojnie światowej.

Któregoś dnia więc żołnierze wymyślili nową zabawę, żeby pomścić poległych kolegów. Do hełmu wkładali kartki z nazwiskami aresztowanych i losowali jedną. Ta, której nazwisko padło, w obecności wszystkich natychmiast była rozstrzeliwana. Loteria śmierci, jak nazwałyśmy tę przerażającą rozrywkę, odbywała się raz na miesiąc.

Jak można opisać grozę, którą kazali nam wtedy przeżywać w oczekiwaniu na wylosowane nazwisko? Stałyśmy ściśnięte i kiedy dowiadywałyśmy się, że to nie na nas padło, nie mogłyśmy nie odczuwać ulgi. Doświadczaliśmy jednak także ogromnego cierpienia tej, która miała być natychmiast rozstrzelana. Kiedy żołnierz celował do skazanej więźniarki, a ona zaczynała krzyczeć, odwracaliśmy się, żeby nie oglądać tego koszmaru. Rozpacz i lament tych kobiet prześladowały mnie przez lata w snach. A to nie był jeszcze szczyt barbarzyństwa żołnierzy.

Pośród więźniarek były zaledwie osiemnastoletnie bliźniaczki z Quebecu, które znalazły się na początku wojny w Bretanii tylko dlatego, że ich ojciec, inżynier, podpisał dwuletni kontrakt na budowę mostu i zabrał z sobą do Europy rodzinę. Któregoś dnia żołnierz wylosował nazwisko jednej z nich. Jej siostra zaczęła rozpaczać i z całej siły do niej przylgnęła. Dziewczyny, które dzieliły z nimi siennik, próbowały ją powstrzymać, ale kiedy

padł strzał i siostra się przewróciła, jej płacz jeszcze się wzmógł. Ponieważ nikt nie umiał jej uspokoić, żołnierz rozkazał pozostałym się oddalić, a potem strzelił i do niej.

Tym razem nie zdążyliśmy się odwrócić, bo nie spodziewaliśmy się tak niehumanicznego czynu. Sam Niemiec wyglądał na zaskoczonego swą decyzją i już nie potrafił spojrzeć nam prosto w oczy. Czasami miałam nawet wrażenie, że żołnierzom trudno było zaakceptować naszą sytuację i wściekłość na nią zamieniała ich w prawdziwe bydło. Jakby chcieli nam dać do zrozumienia, że w istocie nie mieli wyboru, że musieli tak postępować, tylko wypełniali rozkazy... Inaczej sami by oszaleli...

Dlatego loteria śmierci nie była jedyną ciężką próbą, jakiej nas poddawano. Gnębiono nas na różne sposoby, jakby żołnierze chcieli przekonać wroga, że jeżeli im się nie podda, będą nas maltretować bez końca. Tyle że my byliśmy tylko mrówkami ukrytymi głęboko pod ziemią. Nie mogłyśmy nikomu służyć za przykład. Dlatego uważam, że ich okrucieństwo świadczyło raczej o ich frustracji, że nie wygrali wojny tak łatwo, jak planowali. Niektórzy zachowywali się tak, jakby wymyślanie tortur uznali za swoją misję i chcieli w ten sposób zadziwić fuhrera.

Tak zatem raz w miesiącu zmuszali nas także do maszerowania przed nimi nago. Ich donośny,

pełen szyderstwa śmiech do dzisiaj dźwięczy mi w uszach.

Zdarzało się, że w dniu tej parady niektóre dziewczyny miały krwawienie, co rozbawiało ich jeszcze bardziej. Na szczęście mój cykl miesięczkowy się zatrzymał, co było powodem wielu moich późniejszych problemów ze zdrowiem, ale wtedy znosiłam jedno upokorzenie mniej. Pod koniec tego upokarzającego ćwiczenia wiele kobiet już nie miało siły i często krzyczały, że chcą umrzeć, tak nieznośne było to cierpienie psychiczne. Nasza czteroosobowa grupa zaś stawała się jeszcze bardziej zwarta dzięki Mathilde, która zabraniała nam się osłaniać i kazała patrzeć podglądaczom prosto w oczy, bez jednego mrugnięcia. Jakkolwiek nieprawdopodobne to się wydaje, byliśmy dumne. I przekonane, że przeżyjemy. Pragnienie przetrwania było w nas tak silne, że miałyśmy wtedy tylko jedno marzenie - napluć każdemu Niemcowi w twarz.

Pod koniec drugiego roku mej niewoli kary za wszystko i za nic spadały na nas jak deszcz. Źle ustawiona menażka, nierówny szereg podczas liczenia, minuta spóźnienia do pracy - wszystko było pretekstem do zarządzenia sankcji: kilkudniowego pobytu w lochu ze światłem lub bez, ograniczenia racji żywnościowej do jednej porcji zupy na cztery dni albo przebywania w celi po kostki w wodzie.

Czasami strażnicy zmuszali więźniarki, żeby drugim wymierzyły karę. Któregoś dnia pewna Rosjanka próbowała uciec. Jej trzy towarzyszki z sieniaka przez dwa i pół dnia nie mogły usiąść, co wojskowi nazywali pozycją, a następnie przez trzy dni nie dostawały jedzenia. W końcu, zamiast ukarać uciekinierkę, żołnierze oddali ją w ręce współwięźniarek, które tak długo ją biły, aż umarła! Niemcy naprawdę znali wszystkie sposoby na odczłowieczanie istot ludzkich.

Przeżyłam też doświadczenie co najmniej niezwykłe, zwłaszcza w mojej sytuacji. Pewnego ranka podczas pracy odniosłam wrażenie, że ktoś po cichu do mnie mówi. Maszyna hałasowała, więc nie bardzo wiedziałam, skąd dochodzi ten głos. Nawet się nie odwróciłam od niej. Gdy po jakimś czasie ponownie między dwoma ruchami pedału usłyszałam obok siebie czyjś szept, zorientowałam się - jakkolwiek niewiarygodne może to się wydawać - że to młody strażnik próbował ze mną porozmawiać. Najpierw pomyślałam, że to przywidzenie, ale żołnierz wrócił i zwolnił przy moim stanowisku. „To ja mówię do pani. Dzień dobry!” - usłyszałam. Przy kolejnym przejściu ponownie powiedział: „Dzień dobry”.

Spuściłam oczy, jak gdyby nic się nie stało. Nie mogłam mu odpowiedzieć - w końcu mógł to być podstęp. A on, widząc moje zakłopotanie,

spróbował mnie uspokoić: „Nie chcę pani przestraszyć. Chcę po prostu z panią porozmawiać, jeżeli się pani zgodzi”. Pomysł konwersacji z katem wydawał się diaboliczny. I podczas gdy ja się wahałam, on wyjaśniał: „Nie jestem taki, jak pani myśli. Zapewniam panią, że nie jest to żadna pułapka. Doskonale wiem, że oboje bardzo dużo ryzykujemy, ale to jest silniejsze ode mnie. Obserwuję panią od kilku dni i zobaczyłem w pani taką siłę charakteru, że zapragnąłem z panią porozmawiać, żeby się dowiedzieć o pani czegoś więcej. Bardzo chciałbym pani powiedzieć, że naprawdę przykro mi z powodu tego, co tu się dzieje. Ale nie chcę się usprawiedliwiać. Zależy mi tylko na tym, żeby pani wiedziała, że nie wszyscy Niemcy zgadzają się z tą wojną. Przede wszystkim chciałbym pani wyjaśnić, że nie wszyscy jesteśmy bez serca. Jeśli zgodzi się pani zamienić ze mną słowo, zachowamy jak największą ostrożność. Będziemy rozmawiali, jak najmniej poruszając ustami i nie patrząc na siebie. Ja też nikomu nie mogę ufać, bo niektórzy żołnierze ulegli indoktrynacji i denuncjują tych, co zdradzają ludzkie odruchy. Jeżeli pomoże to rozwiązać pani obawy, to powiem, że dobrze skalkulowałem ryzyko. Na przykład ustawienie pani maszyny ułatwia rozmowę, bo stąd jest daleko do reszty strażników. A z tego miejsca widzę schody. Jeśli tylko dostrzegę niebezpieczeństwo albo poczuje, że ktoś nas obserwuje,

natychmiast przerwę rozmowę". I nie pytając mnie o zgodę, mówił dalej: „Dobrze, zaczynam, mam na imię Franz. Z pewnością zastanawia się pani, dlaczego mówię po francusku. Część studiów odbyłem w Paryżu. Mieszkałem tam dwa lata”.

Nawet na niego nie spojrzałam. Naprawdę bałam się, że to pułapka. Kilka sekund po gwizdku ogłaszającym koniec pracy powiedziała: „Do jutra!”. Byłam w szoku. Z niecierpliwością czekałam na godzinę dwudziestą, kiedy gasły wszystkie światła, żeby opowiedzieć tę historię dziewczynom. Leżałyśmy przytulone do siebie - Simone na jednym brzegu, ja obok niej, Irena i Mathilde z drugiej strony - a ja szeptem relacjonowałam rozmowę z żołnierzem.

Simone i Irena natychmiast mnie przestrzegły: „Nigdy nie wolno ufać wrogowi”. Żadna z nich nie wierzyła w dobrą wolę niemieckiego żołnierza. „Na pewno coś od ciebie chce”, stwierdziły. „Uwierzyłaś mu, że zwrócił na ciebie uwagę ze względu na siłę twojego charakteru?” - zapytała Mathilde, a potem dodała: „Trzeba będzie chronić cię nie tylko przed żołnierzami, ale przed wszystkimi mężczyznami”. Nie bardzo rozumiałam, co chciała przez to powiedzieć. Zasadniczo jednak wszystkie nalegały, żebym natychmiast skończyła z tymi rozmowami.

Następnego dnia rano Simone przypomniała mi zalecenie. Jeśli ten żołnierz będzie miał dzisiaj służbę, mam go ignorować. Niczego jednak jej nie

obiecałam. Uwolniłam się od niej i poszłam na miejsce pracy. Franz już tam był. Kiedy go zobaczyłam, poczułam dziwną radość. Czy tylko dlatego, że się mną zainteresował?

Cierpliwie czekał, aż wszyscy zajmą stanowiska i rozlegnie się regularny odgłos pracy maszyn. Skorzystałam z chwili, kiedy na mnie nie patrzył, żeby go poobserwować. Nie spieszyłam się i przyjrzałam mu się dokładnie. Miał włosy blond, oczy zbyt niebieskie na to, żeby mogły być złe, szlachetne rysy twarzy, szerokie dłonie. Podskoczyłam, kiedy mnie powitał. Powtórzył swoje imię i zapytał o moje. Nie odpowiedziałam. Starał się mnie uspokoić. „Po tym wszystkim, co pani przeżyła, dobrze rozumiem pani milczenie. Opowiem o sobie i potem pani zdecyduje, czy zasługuję na uwagę”. Kontynuując pracę, słuchałam go, ani razu na niego nie zerkając. „Nazywam się Franz Weis. Pochodzę z Garmisch-Partenkirchen, to niedaleko granicy z Austrią, w Bawarii. Te dwie miejscowości w 1935 roku z rozkazu Hitlera połączono w jedną przed zimowymi igrzyskami olimpijskimi. Garmisch zbudowano w przepięknej dolinie, nad którą wznosi się między innymi najwyższy szczyt Niemiec - Zugspitze. Jeżeli kiedyś będzie pani mogła zwiedzić to miejsce, zobaczy pani, jak tam ładnie.

W mojej rodzinie są żołnierze od pokoleń. Mój ojciec brał udział w pierwszej wojnie światowej.

Jest człowiekiem bardzo zimnym i uważa, że mężczyzna nie powinien okazywać uczuć. Może się pani domyślać, że nie miałem wyjścia. Musiałem wstąpić do wojska. Nie wiem, czy jest dumny z tego, że w Paryżu uzyskałem dyplom z historii, bo nigdy mi tego nie powiedział. Mam wrażenie, że nigdy nie zasłużył na to, żeby spojrzeć na mnie z dumą. Dlatego czasami go nienawidzę.

Paryż to czarujące miasto, mieszkałem tam dwa lata i były to najwspanialsze lata mojego życia. Zakochałem się w nim po uszy i moim jedynym pragnieniem jest, żeby po tej okropnej wojnie, oczywiście jeśli ją przeżyję, wrócić tam i pracować jako dziennikarz". Franza poniosło własne opowiadanie i zapomniał, że ma mówić po cichu. Zapytał mnie: „Była tam pani?”. Nie wiedział, jak bardzo chciałam mu odpowiedzieć, że jeszcze nie. „No dobrze, niech pani milczy, rozumiem. To naprawdę pasjonujące miasto, eleganckie i romantyczne dzięki architekturze, szerokim ulicom, ogromnym parkom. Nadal mam przed oczami Champs-Elysees, późnym popołudniem wyglądały naprawdę bajkowo. Drzewa rosnące wzdłuż nich są nadzwyczaj dobrze utrzymane. Jest też wiele kawiarni, w których można popijać kawę z mlekiem, obserwując eleganckie kobiety i zawsze dobrze ubranych mężczyzn, a także plac de la Concorde z obeliskiem ofiarowanym miastu przez Egipcjan, Lasek Buloński, wieża Eiffla,

o której tyle się mówiło po wystawie światowej. Mieszkałem w pięknej dzielnicy w małym pensjonacie przy ulicy Washingtona. Widziałem *Carmen* w Operze Komicznej i muzeum figur woskowych. Są to rzeczy jedyne w swoim rodzaju. Mieszkać w Paryżu, to żyć sztuką i nauką. To miasto zawsze napełnia mnie szczęściem, rodzi entuzjazm, otwiera na przyszłość". Już miałam mu odpowiedzieć, kiedy prawie przyłapał nas oficer. Franz szybko zamilkł, bo nie usłyszał, że tamten nadchodzi.

*

Tego wieczoru Simone i Irena starały się dowiedzieć, czy rozmawiałam z żołnierzem. Odpowiedziałam, że nie. Nie wiedziałam, dlaczego ukryłam przed nimi prawdę.

Zrobiłam rachunek sumienia, pytając siebie, kiedy ostatnio skłamałam, i nie mogłam sobie tego przypomnieć. Wydaje mi się, że zawsze byłam bezpośrednia i szcera. Chociaż to prawda, że moje dotychczasowe życie sprzyjało takiemu zachowaniu.

Z pewnością nie chciałam, żeby dziewczyny prawily mi morały. Miałam swoją godność. Ale do zachowania tej historii w tajemnicy popychało mnie coś innego. Był to dziwny ogień, który właśnie się we mnie rozpałał. Myślałam nad tym i nie mogłam usnąć. Co Franz mógł we mnie zobaczyć

interesującego i dlaczego właśnie mnie wybrał, żeby tak rozmawiać? Chociaż w Vittel strażnicy też próbowali nawiązać z nami kontakt, by zapewne powiedzieć, że nie wszyscy Niemcy to łajdacy, to Franz po raz pierwszy uświadomił mi, że rzeczywiście istnieje druga strona medalu. Być może nie był jedynym Niemcem, który nie zgadzał się z tym, co się wokół niego działo. Może inni strażnicy też mieli matki i żony, które ich kochały, i odczuwały taki sam niepokój o ich los jak kobiety na całym świecie. Doszłam do wniosku, że w każdym narodzie znaleźć można ludzi niepozbowionych uczuć.

Kiedy Franz zwierzył mi się, że obserwuje mnie już od pewnego czasu, wydawało mi się to nieprawdopodobne. Na próżno grzebałam w pamięci, by przypomnieć sobie, czy chociaż na chwilę uchwyciłam jego spojrzenie. Byłam przekonana, że oczy tak niebieskie zapamiętałabym na pewno.

*

Byłam w pełni świadoma tego, że powstawała między nami więź, ale dlaczego miałabym z tego powodu czuć się winna? W końcu chodziło tylko o przyjaźń. To zbliżenie pozwalało mi zapomnieć o brzydocie obozu koncentracyjnego i wszystkich przeżywanych w nim cierpień. Powoli moja głowa zapełniała mi się miłymi wspomnieniami, które pomagały odpędzać

okropności widziane od chwili zjawienia się tutaj. To niewiarygodne, jak szybko oglądane co dzień skrajne okrucieństwa mogą ustąpić miejsca nadziei. Mimo wyczerpania po całym dniu ciężkiej pracy w rzeczywistości nie odczuwałam już zmęczenia.

Ale tego dnia również Simone i Irena nie mogli zasnąć. Mathilde jeszcze do nas nie wróciła, co zdarzyło się po raz drugi. Za pierwszym razem powiedziała nam po prostu, że nie powinnyśmy się niepokoić, że nie stało się nic złego, a w jej głosie było tyle chłodu, że nie ośmieliłyśmy się o nic pytać. Być może kiedy indziej powie nam o przyczynach tej nieobecności. W końcu przestałam się niepokoić o nią i zaczęłam ponownie przeżywać miniony dzień. Nagle noc wydała mi się zbyt długa, z niecierpliwością czekałam, aż znów zobaczę Franza.

ZESZYT CZWARTY

POCZĄTEK

Nie widziałam Franza już od dwóch dni i byłam tym mocno zaniepokojona. Czy ktoś zauważył, że ze mną rozmawiał? Stało się z nim coś poważnego? W nadziei że go gdzieś dostrzegę, podczas pracy bezustannie spoglądałam na schody. Nie rozumiałam uczucia, jakim zaczęłam darzyć osobę widzianą zaledwie dwa razy w życiu, która na dodatek należała do wrogiego obozu. Było to zupełnie absurdalne. Tego dnia jednak odczuwałam ogromną pustkę, jak gdybym straciła nowego przyjaciela, o którym chciałam wiedzieć wszystko i w którego towarzystwie mogłabym przebywać bez końca.

Jak to się stało, że do tego stopnia mną zawładnęła? Nic wtedy nie wiedziałam na temat siły, która przyciąga do siebie kobiety i mężczyzn. Czy w stosunku do innego mężczyzny, który poświęciłby mi równie dużo uwagi, czułabym to samo? Ale jakkolwiek by było, nie był to dobry moment na przeżywanie podobnych historii.

Starałam się wypędzić Franza z głowy, bo musiałam się skoncentrować na pracy. Nie mogłam sobie pozwolić na popełnienie błędu. Kilka dni wcześniej jednej z dziewczyn pocisk wybuchł prosto w twarz, bo źle umieściła go na pasie. Wyglądała okropnie, krzyczała, a my miałyśmy tylko brudne ścierki, żeby jej pomóc. Byłyśmy bezradne i w żaden sposób nie mogłyśmy jej ulżyć. Żołnierze odprowadzili ją do szpitala i nigdy więcej już jej nie zobaczyłyśmy. Podobno infekcja szybko się rozprzestrzeniła, a gdy dziewczyna leżała nieprzytomna, żołnierze gdzieś ją zabrali i zabili.

Pracowałam bez entuzjazmu, pochłonięta wewnętrzną walką i przekonywaniem siebie, że Franzem nie powinnam się przejmować. Powtarzałam sobie, że pewnie go już nigdy więcej nie zobaczę. Dopiero co przecież oswajałam się z myślą, że moja niewola potrwa długo i w związku z tym będę potrzebowała dużo odwagi, a przede wszystkim energii, żeby podtrzymywać moją nienawiść do oprawców. Nie chciałam w ich obecności się rozczulać, zwłaszcza że pozostali w niczym nie byli do niego podobni. Pragnęłam zachować w sobie tę pasję życia, która pewnego dnia pozwoli mi plunąć im w twarz i wykrzyczeć: „Nie dam się wam i wyjdę stąd żywa!”.

Zastanawiałam się, czy w całej tej ohydzie Franz jest wyjątkiem, co byłoby dowodem na to, że

człowiek może być z gruntu dobry. Jeżeli tak, byłaby to dla mnie iskierka nadziei. Jeśli zaś już nigdy go nie zobaczę, to przynajmniej będę miała co wspominać, czekając na dzień mojego wyzwolenia.

Przede wszystkim jednak nie chciałam, żeby koleżanki zauważyły moją melancholię. I kiedy spotykałyśmy się na sienniku, bardzo się pilnowałam. I nadal nie spałam, godzinami roztrząsając moje uczucia do Franza.

*

Pewnej nocy byłyśmy świadkami niezwykłego wydarzenia. Krystyna, Polka, która spała na sąsiednim materacu i jak my wszystkie została aresztowana z niejasnych powodów, zwijała się z bólu. Przyjechała tutaj w tym samym czasie co mąż, który trafił do podobozu dla mężczyzn, a teraz była w siódmym miesiącu ciąży, więc na termin porodu było jeszcze za wcześnie. Simone jednak miała w tych kwestiach niezłe rozeznanie, gdyż niegdyś często towarzyszyła swojej mamie akuszerce w pracy, i od razu stwierdziła, że z powodu trudnych obozowych warunków życia akcja porodowa zaczęła się przed czasem. Krystyna straciła dużo na wadze i niemal od dwóch miesięcy każda z nas zastępowała ją trochę w pracy, żeby miała możliwość odpoczywać. Mimo to sytuacja wyglądała na

skomplikowaną. Po kolei starałyśmy ją ogrzać i podnieść na duchu. Simone otuliła ją nawet jakąś starą wełnianą kurtką wykradzioną z kuchni. Nie chciałyśmy wysyłać jej do izby chorych za wcześnie, by nie była tam sama. Ale w środku nocy w końcu to zrobiłybyśmy. Simone została z nią aż do samego porodu, który odbył się kilka minut później. Krystyna urodziła piękną dziewczynkę i na cześć swojej najlepszej przyjaciółki dała jej na imię Inga.

Wszystkie byłyśmy wyczerpane. Do pobudki zostało tylko pół godziny. Na stanowisku pracy zjawiłam się ze spuszczoną głową, pozbawiona energii. Dodatkowo nastrój pogarszała mi kilkudniowa nieobecność Franza.

Z obawy, że ponownie przeżyję rozczarowanie, starałam się nie rozglądać wokół i skupiać na pracy. W pewnym momencie nieoczekiwanie go dostrzegłam. Moje zmęczenie natychmiast znikło. Lękając się, że mogę go więcej nie zobaczyć, postanowiłam, że tego dnia się do niego odezwę. Franz też wyglądał na zadowolonego. Wytłumaczył mi, że dostał rozkaz przetłumaczenia kilku tekstów i przez dwa dni pracował w gabinecie komendanta.

Zanim się odezwałam, jak każda dobra zakonnica - czy też to, co z niej zostało - zrobiłam rachunek sumienia. Czy moja intuicja jest słuszna? Czy ten człowiek jest dobry? Raczej nie miałam wrażenia, że opowiada mi bajki. Nawet jeżeli w moim

życiu klasztornym nie miałam wielu okazji do kontaktów z innymi, to jednak wierzyłam, że mam dar rozpoznawania w ludziach dobra. Zresztą siostry zawsze gratulowały mi mojego nosa w tych kwestiach.

Doskonale wiedziałam, że narażam się na niebezpieczeństwo, ale czy ewentualna kara za to będzie gorsza od okrucieństwa, jakie muszę tu oglądać od momentu przyjazdu? Zdawałam sobie sprawę, że koleżanki z siennika nigdy nie wyraziłyby na to zgody. Ich zdaniem Niemcy to hipokryci, których nie wolno obdarzać zaufaniem. Ale mój charakter często popychał mnie do tego, by robić dokładnie co innego, niż ode mnie oczekiwano. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o życiu Franza, o jego kraju, jego ambicjach czy planach. Potrzebowałam też wiary - wiary w świat i ludzi. Będzie, co ma być - powiedziałam w końcu sobie i zadałam mu pierwsze pytanie, które nurtowało mnie od samego początku: „Dlaczego ja?”.

Przez kilka sekund stał z otwartymi ustami, potem wyszeptał: „Słucham?”. „Dlaczego to mnie wybrał pan do rozmowy? Jest tutaj tyle osób, z którymi mógłby pan porozmawiać. Powiedział pan, że wcześniej przez kilka dni mnie obserwował. Czym wyróżniam się spośród tych wszystkich kobiet?”. Nie odpowiedział od razu, wyraźnie się wahał. Zastanawiałam się, czy naprawdę mi ufa, bo przecież

ja też mogłam go zadenuncjować w zamian za jakieś korzyści. W końcu spokojnie mi wyznał, że od razu jego uwagę zwrócił sposób, w jaki patrzę żołnierzom w oczy, kiedy wydają mi rozkazy. Wielkie wrażenie zrobiła na nim szczerość mojego spojrzenia. Powiedział o postawie ciała, zawsze wyprostowanej, nigdy w pozycji ofiary, dodał także, że bije ode mnie siła, która graniczy niemal z prowokacją. Ze jestem interesująca i chce, żebym dobrze o nim myślała. Kładł nacisk na to, że nie jest oprawcą bez serca, ale człowiekiem ze wszystkimi ludzkimi słabościami i uczuciami. „Ta wojna nic mnie nie obchodzi - wyznał. - Przed jej wybuchem marzyłem jedynie o tym, by być dziennikarzem i podróżować po całym świecie. Codzienne dziękuję też Niebiosom, że nie musiałem jeszcze wykonać żadnego nieludzkiego rozkazu. Udawało mi się, bo wykonywałem wiele zadań administracyjnych i tłumaczeń. Wiem jednak, że niedługo wyślą mnie na front, bo straciliśmy więcej żołnierzy, niż się spodziewano”. Nagle zamilkł i wrócił na obchód, żeby sprawdzić, czy nikt nie widział i nie słyszał, jak ze mną rozmawia. Ja natomiast potrzebowałam chwili, żeby dojść do siebie po tym wszystkim, co powiedział na mój temat.

Nie spodziewałam się aż takiego zainteresowania i komplementów ze strony osoby, którą miałam prawo szczerze nienawidzić. Czy był uczciwy?

Raczej - szczerzy i przekonany o słuszności tego, co mówił. Zastanawiałam się, dlaczego na jego widok czułam prawdziwe podniecenie, a kiedy się do mnie zwracał, serce zaczynało mi bić dużo szybciej.

Jeżeli jednak nawet emocje ścisnęły mnie za gardło i miałam ochotę się rozpłakać, powinnam była nad sobą zapanować, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Ale miałam wrażenie, że znów jestem sierotą wybraną właśnie przez nowych rodziców, która wbrew wszystkim obawom zaczyna czuć do nich miłość. Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, co się ze mną dzieje? Nie mogłam jednak nikomu się zwierzyć, co tylko potęgowało moje zmieszanie.

W chwili gdy miałam zadać mu kolejne pytanie, usłyszeliśmy szybkie kroki na głównych schodach. Dwóch żołnierzy przyszło po jakąś Francuzkę, zapewne działaczkę ruchu oporu, której już nigdy potem nie zobaczyłyśmy. Wieczorem Mathilde potwierdziła moje domysły. Francuzka była żoną ważnego członka ruchu oporu i z koleżankami z matracza często rozmawiała o wyczynach męża.

Kiedy w południe zawyła syrena, skończyła się służba Franza. Spojrzeliśmy na siebie dyskretnie, jakbyśmy chcieli powiedzieć: „Szkoda, i być może do zobaczenia!”.

Reszta dnia upłynęła mi szybko - błędziłam myślami w chmurach. Ta nowa przyjaźń zaczynała

mnie zmieniać. Patrzyłam na otaczające mnie kobiety - wychudzone, bez włosów, z zapadniętymi policzkami - i byłam pewna, że muszę być do nich podobna. Dlaczego więc Franz to mną się zainteresował, skoro nigdy w życiu nie wyglądałam tak strasznie? Miał jakiś interes? Czegoś ode mnie chciał? Co mogłabym mu zaofiarować?

Ponieważ w tym momencie nie miałam żadnego kobiecego atrybutu, doszłam do wniosku, że nasze rozmowy mają charakter czysto przyjacielski. Ale czy przyjaźń może wywoływać takie wewnętrzne poruszenie? Chciałam porozmawiać o tym wszystkim z Simone, lecz obawiałam się jej gniewu. Na podzielenie się z nią tą tajemnicą było jeszcze za wcześnie albo już za późno. Mąciło mi się w głowie.

*

Wieczorem zauważyłam, że Irena ma gorączkę jeszcze wyższą niż poprzedniej nocy, gdy przytulała się do moich pleców mocniej niż zwykle, bo wstrząsały nią dreszcze. Nie mogłam pojąć, jak udało jej się przepracować w tym stanie cały dzień. Pół godziny po wieczornym posiłku, którego nie była w stanie przełknąć, temperatura tak jej podskoczyła, że Irena zaczęła majaczyć. Simone bardzo się tym przejęła. Zapytała mnie, co powinnyśmy zrobić, ale ja nie miałam żadnego pomysłu.

Mimo że Mathilde jeszcze nie wróciła, postanowiliśmy wysłać Irenę do izby chorych, nie zważając na to, że przysięgaliśmy sobie nie podejmować żadnej decyzji bez zgody pozostałych. Nie miałyśmy wyboru, bo nie wiedziałyśmy, gdzie Mathilde może się w tej chwili znajdować.

Poprosiłam strażnika, żeby poszedł za mną. Obejrzał Irenę, oczywiście nawet jej nie dotykając, a potem wrócił z dwoma pielęgniarzami. Simone i ja pomogłyśmy im położyć przyjaciółkę na noszach i gdy ją zabierali, zdałyśmy sobie sprawę, jak bardzo jest wychudzona i delikatna. Zastanawiałyśmy się, czy uda jej się przeżyć. Długo płakałyśmy. Modliłam się za nią ze wszystkich sił, uświadamiając sobie nagle, że robię to coraz rzadziej.

Gdy opowiedziałyśmy Mathilde, co się wydarzyło, wpadła w złość. Wypomniała nam, że przecież złożyłyśmy przysięgę. Miała powody przypuszczać, że Irena do nas nie wróci, zwłaszcza gdy w izbie chorych odkryją jej tatuaż na ramieniu. Próbowaliśmy ją uspokoić. Przy takiej gorączce, powiedziałyśmy, nikt nie ośmieli się jej dotknąć - z obawy, że się od niej zarazi. Mathilde jednak nadal robiła nam wyrzuty. Przecież mogła wymyślić coś innego, twierdziła. Zapytałyśmy więc, jak zachowałaby się na naszym miejscu, na co oschle odpowiedziała, że mogłaby znaleźć lekarstwo. Żeby udowodnić nam prawdziwość tych słów, wyjęła spod sukienki

zawinięty w szmatkę pakunek i rzuciła na sien-
nik. Był to kawałek kiełbasy, którym miałyśmy się
wszystkie cztery podzielić tuż przed snem. Simo-
ne szybko go przykryła, żeby nikt go nie zauważył,
i nakazała Mathilde się uspokoić: „Nie chcę wie-
dzieć, skąd wzięłaś tę wędlinę - powiedziała. - Po-
czekam, aż będziesz w lepszej formie i sama wy-
tłumaczysz nam swoje nieobecności. W tej chwili
nie masz prawa potępiać nas za to, że podjęłyśmy
decyzję bez ciebie. Nie było cię, a my byłyśmy bar-
dzo zaniepokojone. Nie chcę, żeby Armande i mnie
spotkała kara za to, że mówisz zbyt głośno. Możesz
się uspokoić? Bardzo proszę”.

Mathilde ochłonęła. Wiedziała, że Simone ma
rację. Po chwili już spokojnie zaczęła nam opo-
wiadać, że dzięki swojemu zajęciu nawiązała kon-
takt z dwoma oficerami, którzy mogli zapewnić jej
pewne przywileje. Uważali, że pracuje doskonale;
wykazy nigdy nie były równie przejrzyste jak teraz.
Często sprawdzali księgi i nigdy nie znaleźli naj-
mniejszego błędu. Ta kiełbasa to był pierwszy pre-
zent, jaki od nich dostała.

Nie zadałyśmy jej ani jednego pytania. Ale ja
chciałabym opowiedzieć im o tym, co przeżyłam
dzisiaj w towarzystwie Franza. Z ich doświadcze-
niem potrafiłyby przeanalizować i wytłumaczyć
mi, co do niego czułam. Mimo wszystko postanowi-
łam zachować tę tajemnicę dla siebie, nie miałam

ochoty na ich morały. Byłyśmy wystarczająco nie-spokojne o Irenę, zaczęłyśmy więc snuć plany, jak uzyskać dostęp do izby chorych.

Gdy tylko zgasły światła, podzieliłyśmy kiełbasę i zjadłyśmy ją w milczeniu. Z głębi serca podziękowałyśmy Mathilde za ten prezent, który niewątpliwie kosztował ją wiele wysiłku. Oczywiście część Ireny ukryłyśmy w sienniku.

*

Następnego dnia, gdy tylko otworzyłyśmy oczy, dyżurny oficer przyprowadził jakąś dziewczynę, która miała zająć wolne miejsce na naszym materacu. Nie wiedziałyśmy, czy to oznaczało, że Irena nie przeżyła gorączki. Na razie menażką brunatnego płynu musiałyśmy podzielić się z nową. Żadna z nas nie miała zamiaru nikogo dyskryminować, wszystkie znosiłyśmy takie same galery, a naszą siłą była właśnie wzajemna pomoc. Doskonale to rozumiwałyśmy. Ale trudno nam było się pogodzić z zajęciem przez nową więźniarkę miejsca naszej przyjaciółki, którą tak długo starałyśmy się ratować przed śmiercią.

Rano nie było zresztą czasu na rozmowy. Wzywała nas codzienna rutyna. Simone i Mathilde miały spróbować, każda swoimi sposobami, dowiedzieć się czegoś o stanie Ireny. Oczywiście ja

również niepokoiłam się o nią, lecz mimo wszystko moje myśli krążyły wokół Franza.

Usiadłam przy maszynie i zobaczyłam go, jak idzie w moim kierunku. Zaczęłam drzeć. Wyglądał na prawdziwie szczęśliwego i szczerze się uśmiechał. Chciał wiedzieć, jak ja się czuję. „Muszę przyznać, że poza naszymi rozmowami, które bardzo mnie cieszą, cała reszta przepełnia mnie goryczą. Zastanawiam się, jak znajdę siły, żeby wytrwać do końca. Nic nie wiem o tej wojnie, nie znam nawet dokładnych przyczyn mojego aresztowania. Może mi pan powiedzieć coś więcej na ten temat? Ile czasu będzie to jeszcze trwało? Jak długo będziemy żyć w takich warunkach, pozbawione jakiegokolwiek godności?”. Potem ośmieliłam się powiedzieć kilka słów o jego wodzu: „Wszyscy tu mówią, że Hitler to szaleniec” - i od razu wiedziałam, że właśnie przesadziłam. Skąd miałam mieć pewność, że Franz nie wystąpi przeciwko mnie? Mógł także usłyszeć mnie ktoś inny... Rozejrzałam się, wszystko wyglądało normalnie. Franz też się obrócił, a potem odpowiedział nieco szybciej niż zazwyczaj: „Wielu Niemców, a wśród nich ja, myśli, że to bardzo niebezpieczny człowiek. Już w jednym ze swoich przemówień z 1928 roku stwierdził, że w walce o życie wygrywa ten, kto jest najsilniejszy, najzdolniejszy. Przegrywa zaś ten, kto jest mniej zdolny, najslabszy. Hitler dowodzi swoją partią według fałszywej

interpretacji dzieła Karola Darwina. Zgodnie z jego teorią doboru naturalnego nazizm głosi, że człowiek jest zwierzęciem z całym systemem wartości zwierząt. Bydlę, które wygrywa, musi być najsilniejsze. Dziecko, które umiera, musi być najsłabsze".

Słuchałam z zainteresowaniem. Chociaż daleko mi było do przyjęcia teorii nazistów, zaczynałam w końcu rozumieć sposób ich myślenia.

Franz spojrzął na zegarek. Jego służba dobiegała końca. Odwrócił się w moim kierunku ze smutną miną. Byłam wzruszona. Nie miałam żadnego doświadczenia w tym względzie, ale byłam wystarczająco inteligentna, żeby pojąć, że to, co chwilowo nazywałam przyjaźnią, zapewne wkrótce się rozwinie.

RANA

Po przebudzeniu się następnego dnia rano zapytałam Simone, jak wyglądam. Zaintrygowało ją moje pytanie: „Dlaczego chcesz wiedzieć? Mam nadzieję, że nie rozmawiałaś z tym żołnierzem”. Odpowiedziałam o pół sekundy za późno. Simone się domyśliła. Złapała się obiema rękami za głowę. „Nie. To niemożliwe. Ja śnię!”.

Obiecałam jej, że sama poradzę sobie z tą sprawą i wszystko jej opowiem, pod warunkiem że nie będzie mnie krytykowała. Otworzyła usta, ale się nie odezwała. W końcu powiedziała, że nie jestem za bardzo wychudzona i że mam jeszcze ładną figurę. Ucałowałam ją w policzek i poszłam pracować.

On już tam był! Bałam się, że zauważy moje podniecenie, starałam się więc zachowywać swobodnie. Zapytał, czy chcę, żebyśmy kontynuowali wątek z poprzedniego dnia. Nie przestając pracować, dałam mu znak, że tak. Zanim zaczął mówić, zapytałam - bardzo szybko i nie zmieniając tonu

- skąd ta nienawiść do Żydów i zawziętość wobec tego narodu. Odpowiedział, że niestety prześladowania tego narodu nie zaczęły się wczoraj. Żydzi od wieków padali ofiarą wielu uprzedzeń, a nawet nie mieli prawa do wykonywania niektórych zawodów. „Nie tak dawno nie mogli posiadać ziemi ani jej uprawiać. Po pierwszej wojnie światowej antysemityzm w Niemczech był zjawiskiem powszechnym. Chociaż to, że obozy zagłady rzeczywiście istnieją, zostało potwierdzone dopiero niedawno. Kiedy ludzie opowiadali nam o nich przepełnione grozą historie, nie chcieliśmy w nie uwierzyć. Najpierw odrzucaliśmy myśl o tym, ale w końcu trzeba było przyjąć to do wiadomości. Wtedy ogarnął nas wstyd. Ludzie milkli i zachowywali się tak, jak gdyby była to nieprawda. Pierwszy z takich obozów, w Dachau, został otwarty na początku lat trzydziestych. Ci, których tam więziono, przy wypuszczaniu na wolność musieli podpisać zobowiązanie, że nigdy nikomu nie powiedzą, co w nim przeżyli; w przeciwnym razie groziła im automatycznie kara powrotu w to miejsce. Wielu Niemców wierzyło, że karano w nim tylko wrogów partii nazistowskiej, no i może Żydów. A to uważano za normalne". Zamilkł. Niewiele brakowało, a zostalibyśmy przyłapani. Musieliśmy wzmocnić czujność.

Kiedy tylko Franz przestawał do mnie mówić i na mnie patrzeć, natychmiast czułam się osamotniona. Za każdym razem, kiedy trzeba było zakończyć rozmowę, domyślałam się, jak trudno mi będzie znieść ten horror, jeśli już nie będę mogła się z nim spotykać.

Po jego odejściu skupiałam się na pracy i spuściłam głowę, żeby nikt nie widział, że płaczę.

*

Minęły cztery dni, a Franz się nie zjawiał. Oczywiście nie mogłam zapytać nikogo, co się z nim dzieje, mimo że bardzo chciałam to zrobić. Kiedy piątego dnia zobaczyłam go, moje podniecenie osiągnęło szczyt - nie byłam w stanie się uspokoić. Ciekawiło mnie, czy chociaż przez sekundę myślał o tym, co czułam pod jego nieobecność. W spojrzeniu, które mi posłał, dostrzegłam, że mnie rozumie.

Wyjaśnił, jak gdyby chciał mnie za to przeprosić, że codziennie przydzielano mu inne zadania i nie wiedział, dokąd zostanie wysłany. Nie mógł mnie zatem o niczym uprzedzić. Uspokoiłam się. Postanowiłam do maksimum wykorzystać każdą minutę. Nieważne już było, ile czasu mamy ani jaką pustkę wywoła we mnie rozstanie. Przypomniałam mu nawet, że gdy musiał odejść, próbował mi

wytłumaczyć pogardę Niemców w stosunku do narodu żydowskiego.

Wytłumaczył mi wtedy w szczegółach, jak odbywały się polowania na Żydów. Niektórzy żołnierze w największej tajemnicy byli specjalnie szkoleni do tego, żeby ich osaczać. Ujawnił mi, że osiemdziesiąt procent donosów na temat miejsca ich pobytu pochodziło od zwykłych obywateli. Nie mogłam w to uwierzyć! Ale najbardziej zadziwiające było to, że policja czy gestapo nawet ich za to nie nagradzały. Byli to „zwykli obywatele”, nie należący do partii nazistowskiej, którzy zapewnić sobie chcieli jakieś korzyści osobiste, jak przejęcie mieszkania po wydanej rodzinie albo pozbycie się niechcianego sąsiedztwa.

„Słyszałem jeszcze inną historię, równie straszną. Sąsiad jednego z moich krewnych razem z innymi Żydami z Norymbergi został doprowadzony na stadion, gdzie trawa była wyjątkowo wysoka. Żeby tych wszystkich Żydów upokorzyć i pokazać im, że rzeczywiście znajdują się na samym dole drabiny społecznej, zmuszono ich do skoszenia tej trawy zębami - ni mniej, ni więcej, tylko żeby ją swoimi zębami wyskubali. Myśli pani, że ja z czymś takim mógłbym się zgodzić?”. Ze wzrokiem utkwionym w maszynie zaczęłam płakać. Franz mówił dalej: „Gdyby jakaś kula skróciła moje dni, już nie musiałbym się wstydzić tego, że jestem Niemcem, potem,

już po wojnie. Jak bowiem miałbym po niej żyć? Przecież nie będzie można udawać, że to wszystko nigdy się nie zdarzyło. To właśnie dlatego chciałbym się przeprowadzić - nie z tchórzostwa, ale po to, żeby codziennie nie oglądać obrazów i miejsc tej masakry, która skalała imię każdego Niemca".

Gdy służba Franza się skończyła, uprzedził mnie, że przez dwa następne tygodnie będzie pracować w administracji. Zapewnił jednak, że potem poprosi o powrót na to miejsce.

Tej nocy spałam bardzo niespokojnie, od jakiegoś czasu bowiem Franz pojawiał się w moich snach nieustannie. W jednym z nich spacerowaliśmy po Paryżu, a ja trzymałam go mocno pod rękę. Byłam elegancko ubrana, na wzór tych kobiet z Champs-Elysees, które mi opisał. Miałam długie włosy upięte w kok. Na czubek głowy włożyłam kapelusik z opadającą mi na nos woalką. Naprawdę wyglądaliśmy na zakochaną parę. Dużo rozmawialiśmy i często się śmialiśmy. Dzień był słoneczny. Swoją drogą w tym czasie często śniły mi się dni pełne słońca i zawsze po przebudzeniu byłam zawiedziona. Jak można spędzić tyle lat bez światła dziennego?

Sny miały dla nas pierwszorzędne znaczenie - były jedynym sposobem ucieczki. Na przykład Irena zwierzyła nam się kiedyś, że po snach, w których jadła posiłki gotowane przez mamę, czuła się

najedzona. Ale mnie zdarzył się też inny sen, o wiele mniej radosny. Przyłapano nas, Franza i mnie, w samym środku rozmowy. Franza zabrali oficerowie i już nigdy więcej go nie zobaczyłam. Wszystko to mogło się zdarzyć, niemniej jednak wierzyłam, że nas to ominie. Modliłam się do Boga, żeby mnie wysłuchał. Uczucie do Franza zachowywałam tylko dla siebie i starałam się utrzymywać jak najlepsze stosunki z moimi przyjaciółkami.

Rozpoczęłam odliczanie czasu do powrotu Franza. Pierwszy dzień pracy bez niego niewątpliwie był najdłuższym, jaki przeżyłam od przyjazdu tutaj i od naszego spotkania. Czy on też, jeżeli miał po temu sposobność, myślał o naszych rozmowach? Czy zakochałam się we własnym kacie, czy była to po prostu przyjaźń? W końcu zaczęłam się zastanawiać, czy przed poznaniem go nie było mi łatwiej.

Mijały dni, a moją głowę w dalszym ciągu wypełniały myśli o nim. Byłam tym już nieomal zmęczona - tym całym wachlarzem targających mną uczuć. Raz uważałam się za osobę naiwną, bo mu uwierzyłam, raz za idiotkę, że jestem aż tak romantyczna. Jakby Franz znajdował się na antypodach mojego systemu wartości. Obwinałam siebie, że wpadłam w pułapkę, w której młodą dziewczynę podnieca nieoczekiwane zainteresowanie ze strony mężczyzny.

Pewnego wieczoru Simone powiedziała nam, że rozmawiała z jedną z więźniarek, która razem z nią pracowała w kuchni. Ta kobieta zносиła posiłki chorym i widziała Irenę. Przekazała więc nam informacje o jej zdrowiu. Gorączka nie do końca spała, Irena miała dyzenterię i była kompletnie odwodniona. Bardzo nas to zaniepokoiło.

Za wszelką cenę trzeba było znaleźć sposób, żeby jej pomóc. Choć nie było to łatwe, Mathilde uzyskała pozwolenie na króciutką wizytę w izbie chorych. Przede wszystkim chciała się upewnić, czy numer wytatuowany na ramieniu Ireny jest nadal zakamuflowany. W przeciwnym razie miała się tym zająć.

Z powodu epidemii tyfusu, który szerzył się w całym obozie, izba chorych pękała w szwach. W całym tym rozgardiaszu nikt nie zdemaskował Ireny. Uznałyśmy więc, że naszym najważniejszym zadaniem jest upewnienie się, że nie wyślą jej gdzie indziej ani nie zamordują za pomocą zastrzyku z fenolu czy też innej substancji, aby w izbie zrobić miejsce dla kolejnych więźniów. Poza tym Niemcy testowali na więźniach działanie różnych szczepionek, a niektórych chorych na tyfus pozostawiali nawet bez opieki, zmieniając ich w przenosicieli

- służyli oni po prostu do namnażania bakterii potrzebnych do zarażania kolejnych więźniów.

Mathilde nawiązała kontakt z pracującą w izbie chorych i podobno godną zaufania Francuzką i obiecała jej regularne dodatkowe racje żywnościowe w zamian za specjalną opiekę nad Ireną. Przede wszystkim zaś chodziło o to, żeby pomogła Polce ukryć obozowy numer.

W tym czasie trochę lepiej poznałyśmy już kobietę, która zajęła miejsce Ireny na naszym sieniaku. Miała na imię Karina i była Cyganką. Nigdy wcześniej nie słyszałam tego słowa. Dowiedziałyśmy się od niej, że Cyganie wywodzą się z Indii i że nazywa się ich również Romami, a we Francji - Bohémiens i Gitan*. Uważano ich za ludzi nieczystych, dlatego zaczęli wędrować po całym świecie, aby uniknąć odrzucenia przez lokalne społeczności.

Wiele lat po wojnie dowiedziałam się, że ten wędrowny naród tak jak Żydzi stał się ofiarą ludobójstwa, którego prawie nie zauważono. Historycy szacowali, że z siedmiusettyśnięcej populacji żyjącej w Europie śmierć poniosło od dwustu pięćdziesięciu do pięciuset tysięcy Romów.

Karina miała dwadzieścia cztery lata i nadzwyczaj czarne oczy. Gęste rzęsy tworzyły ich wyraźny kontur. Przed zgoleniem włosów, które zapewne

* Od łacińskiej nazwy Czech Bohemia; drugie określenie wiąże Cyganów z Egiptem (przyp. tłum.).

były równie czarne jak oczy, musiała być bardzo piękna. Chociaż w ogóle nie przypominała wątłej dziewczyny. Była raczej niska, z szerokimi ramionami. Podczas segregowania więźniów Niemcy oglądali ją jak konia pociągowego i doszli do wniosku, że doskonale nadaje się do ciężkich robót. Dlatego znalazła się w Buchenwaldzie. Jej zadanie faktycznie wymagało siły - pakowała wyprodukowaną broń i przez cały dzień nosiła skrzynki.

Zauważyłam, że niczego się nie bała. Żartocznie zjadała wszystko, co jej wpadło w ręce, i miałam wrażenie, że jest odporna na wszelkie choroby. Trudne warunki, w jakich żył jej naród, z pewnością przygotowały ją na przeżycie grozy obozu.

Pozostała z nami dopóty, dopóki Irena nie wyzdrowiała, to znaczy długo. Podczas walki z dyzenterią Irenie wyrósł na szyi tak duży guz, że lekarz postanowił go zoperować. Ale warunki higieniczne w izbie nie były najlepsze i zdarzyło się to, co musiało się zdarzyć - rana została zakażona, a cieknącą z niej ropę pracujące tam więźniarki wycierały brudnymi szmatkami. W końcu po trzech tygodniach, Bóg wie w jaki sposób, Mathilde udało się zdobyć sulfamidy.

*

Pod nieobecność Franza moja maszyna uległa awarii. Nie miałam pojęcia, co się z nią stało.

Obejrzałam ją uważnie ze wszystkich stron i nie znalazłam niczego, co wyglądałoby inaczej.

Natychmiast zgłosiłam problem strażnikowi, który mnie pilnował, ale ten nie przystanął nawet na chwilę ani na mnie nie spojrzął. Zaczęłam więc z całych sił krzyczeć: „No przecież nie mogę pracować! Maszyna się popsowała!”. W końcu, widząc, że w dalszym ciągu kompletnie mnie ignoruje, pokazałam mu język. Wściekł się i dźgnął mnie bagnetem w piszczel. Po czym jak gdyby nigdy nic wrócił do maszerowania.

Zobaczyłam prawie dwudziestocentymetrową ranę, która obficie krwawiła. Nie miałam żadnego czystego materiału, żeby ją owinąć. Własną sukienką wytarłam więc nogę i tak starałam się powstrzymać krwawienie.

Płakałam z bólu, ale przede wszystkim z wściekłości. Z trudem usiadłam i ze spuszczoną głową, żeby nie widział moich łez, starałam się uspokoić. Nie potrafię powiedzieć, ile czasu upłynęło, zanim gwizdek ogłosił koniec dnia pracy. Zebrałam się w sobie i ledwie doszłam do sali, gdzie sprawdzano listę obecności. Kiedy dziewczyny zobaczyły, w jakim jestem stanie, podbiegły do mnie, żeby mnie podtrzymać. Niewiele brakowało, a straciłabym przytomność, ale musiałam tak stać podczas całej zbiórki.

Gdy oficerowie na chwilę zajęli się czymś innym, Simone wyjęła sznurowadło z mojego buta i zawiązała je nad raną. Krew przestała wypływać. Poradziła też, żebym nie zdejmowała buta, bo potem nie będę mogła włożyć go na stopę. Miała rację. Obrzęk już po chwili był widoczny. Stałam tak przez dwie godziny, a noga bolała mnie przeraźliwie.

Potem Mathilde odebrała moją wieczorną porcję. Ból był zdecydowanie większy niż mój apetyt, ale Simone poradziła mi, żebym coś zjadła i nie traciła sił. Natychmiast po zgaszeniu świateł wzięła ode mnie sukienkę, schowała ją pod własną i poprosiła o pozwolenie wyjścia do toalety, gdzie pod wąskim strumykiem wody starała się sprać całą krew.

Szmatka, w którą zawinęliśmy kawałek kiełbasy dla Ireny, służyła mi za opatrunek przez noc i dwa kolejne dni. Później ze znalezionej w gabinecie oficerów torby pierwszej pomocy Mathilde wykradła dwa kawałki materiału. To Simone zajęła się moją raną, a w jej trosce było coś więcej niż zwykła solidarność. We wszystkim, co robiła, widziałam miłość matki, która za wszelką cenę chce uratować swe dziecko. Chociaż wiedziałam, że ciśnie się jej na usta pytanie: „Czy nadal chcesz zaufać jakiemuś żołnierzowi?” - milczała. Doceniłam jej dyskrecję.

Następnego dnia maszyna była zreperowana. Z ulgą stwierdziłam, że wartę pełnił przy mnie jakiś

inny żołnierz. Z całą pewnością nie potrafiłabym się powstrzymać i patrzyłabym na wczorajszego z agresją zranionego zwierzęcia. A gdyby na mnie spojrział z wyższością, wtedy bym wybuchła.

Ten wypadek sprawił, że mój hart ducha zniknął. Zaczęłam nawet wątpić w dobrą wolę Franza, kwestionowałam szczerłość naszych rozmów. Dałam dowód tego, że stać mnie na pewną otwartość w stosunku do wroga, ale wcale nie wyszło mi to na dobre. I nawet jeżeli nadal tęskniłam za Franzem, już nie czekałam na niego z taką niecierpliwością. Jeśli jeszcze raz będę miała okazję z nim porozmawiać, na pewno już nie będę dla niego taka miła.

Moja duma została zraniona w tym samym stopniu co noga. Nie chciałam, żeby Franz widział we mnie ofiarę, która nawet nie mogła odpowiedzieć na cios kontratakiem. Miałam czarne myśli, lecz musiałam szybko wziąć się w garść. Z ulgą przyjąłam dźwięk syreny oznajmiający koniec dnia pracy. Choć złość pomogła mi chociaż trochę zapomnieć o bólu, z trudem doszłam na zbiórkę.

Po kilku dniach rana się zasklepiła na wierzchu, ale ze środka wypływał z niej żółtawy płyn, a wokół obrzęku pojawiło się zaczerwienienie. Jasne było, że wdała się w nią infekcja.

Któregoś ranka Simone przyniosła ukradziony z kuchni kawałek chleba namoczonego w mleku. Rozdrobniła go i jak niegdyś moja babcia przyłożyła

do zaczerwienionych miejsc, a potem owinęła ranę ciasnym opatrunkiem. Kulejąc, poszłam do pracy. Przez cały ten dzień jednak musiałam chorą nogą wciskać pedał wprawiający w ruch igłę mocującą pocisk. I gdy rana bólem przypominała o sobie, po raz kolejny oglądałam w myślach całą tę scenę i ogarniała mnie wściekłość.

Kiedy wieczorem Simone zmieniała mi opatrunek, zauważyłyśmy wyraźną poprawę, więc chleb i mleko musiały zadziałać. Zaczerwienienie zbladło, ale w środku nadal zbierała się ropa. Byłam ogromnie wdzięczna Simone za pomoc. Gdyby nie jej pomysł z wykorzystaniem sznurowadła, z pewnością umarłabym z powodu upływu krwi. Żyłymy w warunkach nie do zniesienia, ale na szczęście nasza przyjaźń była na tyle silna, że pomagała nam przewycięzać wszelkie problemy, żeby pomóc drugiej. Nigdy wcześniej i później nie miałam okazji zobaczyć ani doznać tak wielkiego współczucia, nawet podczas pobytu w zakonie.

Gdyby rana nie była należycie opatrywana, wdałaby się gangrena. Oglądałyśmy ją więc uważnie, żeby szybko zareagować, jeśli zacznie czernieć albo cuchnąć. Na szczęście Mathilde i dla mnie zdobyła sulfamidę, i to lekarstwo uratowało mi nogę.

Simone wiedziała, że Mathilde płaciła za to wysoką cenę, ale nie podejrzewała nawet połowy tego,

czego żołnierze się od niej domagali w zamian. Ja natomiast nie za bardzo miałam pojęcie o seksie, więc kwestie te należały dla mnie do abstrakcyjnych. O tym, co Mathilde musiała dla nas znosić, dowiedziałam się dużo później, ale nie wspomnę o tym słowem, aby nie rzucać cienia na pamięć o kobiecie, która za wszystkie uratowane istnienia zasłużyła na więcej medali niż niejeden oficer. Nawet zaledwie pięciominutowe wizyty u Ireny w izbie chorych nie było za darmo. Mogę też sobie wyobrazić, jakiego targu musiała dobić, żeby nasze cztery nazwiska nigdy nie wzięły udziału w loterii śmierci. Zastanawiałam się, jak była w stanie znieść te najwyższe upokorzenia i jeszcze z pewnością udawać przy tym, że jej się to podoba. Kiedy chcieliśmy jej dziękować, mówiła po prostu: „Na moim miejscu zrobiłybyście to samo, to kwestia przeżycia”. Zupełnie szczerze powiem, że ja byłabym chyba większym tchórzem niż ona.

Moja noga zdrowiała, z dnia na dzień kulałam coraz mniej. I chociaż z rany nadal sączyła się ropa, infekcja została wyleczona. Ciągłe byłam wściekła na strażnika, który mnie pchnął bagnetem, ale po długim namyśle doszłam do wniosku, że nie mogę mieć o to pretensji do Franza. Wręcz przeciwnie, jeżeli istniał jakiś balsam na moją ranę i na to całe nieznośne życie, to mogły nim być tylko rozmowy z Franzem. Powiedział, że wróci za dwa tygodnie.

Żeby nie pomylić dni, codziennie po pracy kładłam do pudełka jeden nabój karabinu maszynowego.

Dotarli do nas wreszcie wiadomości o Irenie. Infekcja ustępowała, lecz pojawiła się biegunka i przyjaciółka była stanowczo za słaba na to, żeby opuścić izbę. Jakby tego było mało, w drodze do toalety upadła i złamała nos. Ale w końcu i on się zagoił i Irena wróciła do nas, a Karinę przeniesiono gdzie indziej. Mathilde zapewniła nas, że na razie nie musimy się o nią martwić, bo Cyganka bardzo dobrze pracuje. Nigdy nie zwalnia tempa i wykazuje się niespotykaną energią. Staraliśmy się do niej zbytnio nie przywiązywać, bo wiedziałyśmy, że zaraz po powrocie Ireny odejdzie. Bo ponownie Mathilde zrobiła wszystko, co „konieczne”, żeby Irena wróciła właśnie do nas. Kiedy pojawiła się na sieniaku, była jeszcze słaba, ale następnego dnia musiała stawić się w pracy, bo w przeciwnym razie...

Irena przekazała nam wiadomości o Krystynie, którą po porodzie widziałyśmy przez krótki moment. Nie odzywała się wtedy do nikogo i patrzyła prosto przed siebie jak robot. Jej córeczka przeżyła podobno tylko trzy tygodnie, bo Krystyna nie miała dosyć pokarmu. Bardzo szybko po porodzie zmuszono ją do powrotu do pracy. W czasie przerw starała się małą nakarmić, ale mleka nie było. Pracujące w izbie chorych więźniarki na próżno próbowały pomóc, kilka dni później Inga zmarła, a Krystyna

wróciła do izby chorych z powodu ciężkiej depresji. Już nikt nigdy jej nie zobaczył.

Słuchając tej opowieści, zalewałyśmy się łzami. Był to kolejny cios w naszą odporność psychiczną. Nikt nie potrafił powiedzieć, kiedy to piekło się skończy. Tej nocy usnęłyśmy przytulone do siebie tak mocno jak nigdy dotąd. Chciałyśmy uczcić powrót Ireny, której tak bardzo nam brakowało, lecz potrzebowaliśmy też ogrzać swe dusze i ciała.

POŻEGNANIE Z FRANZEM

Zwielką uwagą po raz kolejny przeliczyłam naboje w pudełku. Nie pomyliłam się: Franz powinien jutro wrócić. Myśl, że go zobaczę, doprowadzała mnie do stanu gorączki. Przez ostatnie dwa dni trudno mi było zachować spokój, a mój nagły dobry humor niejednemu mógł się wydać niestosowny ze względu na miejsce i sytuację, w których się znajdowaliśmy.

Byłam tak ogromnie szczęśliwa, że nawet straciłam apetyt. Przepęłniała mnie energia, jakiej od dawna nie czułam. Więcej, naśladowując pewną mieszkankę Saguenay-Lac-Saint-Jean usiłującą mówić po niemiecku, rozśmieszyłam dziewczyny tak, że pierwszy raz widziałam, jak Mathilde śmieje się jak szalona aż do zgaszenia świateł. Jakby wyzbyła się wszystkich oporów. Chociaż ja już po chwili miałam ochotę się rozpłakać. Po przebudzeniu Mathilde poczochnęła mi włosy. „Jesteś kompletnie

szalona!" - powiedziała. Byłam naprawdę dumna, że udało mi się ją rozbawić.

Bardzo mało spałam, mimo to czułam, że jestem w dobrej formie. Przed spotkaniem z Franzem chciałam spojrzeć w lustro, uczesać włosy, pomalować szminką usta, ale wszystko to było niemożliwe. Pomyślałam, że pozostał mi tylko uśmiech. Tak też zrobiłam.

Franz już tam był. Uśmiechnęłam się do niego bardzo dyskretnie w drodze do maszyny. Ale on, zamiast spojrzeć mi w oczy, zerknął na nogę i zobaczywszy ranę, zapominając o zagrożeniu, podszedł do mnie. Natychmiast jednak się opamiętał. Usiadłam na krześle, a Franz chodził tam i z powrotem, głęboko oddychając, jak gdyby chciał się opanować. W końcu zapytał, czy rana dobrze się goi. Uspokoiliłam go i powiedziałam, że trochę sprowokowałam strażnika, który mnie uderzył. Zaciskając zęby, wycedził, że woli nie wiedzieć, kto to zrobił, bo stłukłby mu głowę i natychmiast obróciłoby się to przeciwko mnie. Było mu przykro.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, tak zaskoczyło mnie jego pragnienie ochraniać mnie. Najwyraźniej zależało mu na mnie. Byłam wzruszona, że jestem dla niego kimś ważnym. Łzy same mi poleciały. Nie byłam w stanie z nim rozmawiać. Chciałam mu powiedzieć, że cieszę się, że go widzę, i że

na te dwa tygodnie moje życie się zatrzymało, ale bez przerwy płakałam.

Milczał. Nawet nie słyszałam, żeby oddychał. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że jest bardzo wzruszony. Stał oniemiały i chciałam wierzyć, że przeżywał takie same uczucia jak ja. Uspokoiliam się i wykorzystałam ten moment na wyznanie mu, że od dnia zranienia trochę straciłam do niego zaufanie. A w końcu zadałam to jedno pytanie, które mnie torturowało, i pragnęłam, żeby mi szczerze na nie odpowiedział: „Jeżeli podczas służby otrzyma pan rozkaz poprowadzenia loterii śmierci, to jak się pan zachowa?”.

Stał z otwartymi ustami. Nigdy o takiej ewentualności nie pomyślał. Uczciwie wyznał: „No cóż, pierwszy pomysł, jaki przychodzi mi do głowy, to odegranie jakichś dolegliwości. Skręcałbym się z bólu, bo nie mam prawa odmówić przełożonemu. Doprowadziła pani do tego, że zaczynam się trząść ze strachu, bo do tej pory nie musiałem nikogo zabijać ani źle traktować. Przede wszystkim wypełniałem zadania administracyjne. Ale ta wojna staje się dla nas coraz trudniejsza i wiem, że niedługo będę musiał wykonywać rozkazy wbrew sobie. Wolałbym się bić na froncie. I wiem, że wkrótce będą mnie tam potrzebowali. Czy muszę pani mówić, że jestem tym przerażony? Równocześnie nie wstydzę się tego strachu. Ale jak będę żył, jeżeli ogarnie

mnie chęć dezercji? Z pewnością do końca dni będzie mnie zżerał wstyd, że opuściłem ojczyznę. Nie potrafiłbym już nigdy spojrzeć bliskim w oczy".

Przez trzy dni czuliśmy wielką potrzebę dalszych rozmów i zacieśniania więzi. Chciałam nakłonić go do tego, żeby odwiedził mnie w Quebecu, opisałam więc mu rozległe przestrzenie, cztery wyraźnie różniące się pory roku, wielkie odległości między miastami. Być może Paryż jest jedyny i nadzwyczajny, ale Franz powinien też zobaczyć mój kraj. Zapewniłam go też, iż moi rodacy są tak ciepli, że przyjmą go bardzo dobrze.

Nagle zamilkłam. Bo niby gdzie miałyby mnie odwiedzić? W klasztorze? Zapomniałam, kim jestem. I okrutna rzeczywistość sprawiła, że nagle rozboleł mnie brzuch. Po wyjściu stąd trafię do kolejnego więzienia. A byłam przecież młoda, spragniona wrażeń, a nade wszystko chciałam swobodnie przechadzać się z Franzem. Marzył mi się idealny świat, w którym wszystko jest łatwe.

Jeżeli przeżyję tę wojnę, to czy jeszcze poczuję Boże powołanie? Czy naprawdę jestem stworzona do takiego życia? Czy jest we mnie wystarczająco dużo wiary, żebym była w habicie szczęśliwa? Skoro pozbawiono mnie tylu rzeczy, dlaczego nie miałabym wybrać wolności? A w takim razie jak mogłabym przezwyciężyć wstyd związany z zerwaniem ślubów?

Bez najmniejszej wątpliwości znajomość z Franzem wyrzuciła do góry nogami wszystkie moje plany. Czego od niego oczekiwałam? Ze przyjedzie do mnie do Quebecu, którego piękno przed chwilą mu opisałam? Ale przecież to musiałyby znaczyć, że ja już nie będę zakonnica... A jeśli Franz rzeczywiście się zjawi, jaką parę będziemy tworzyli? Dwoje zagubionych ludzi, którzy poznali się w zamknięciu naznaczonym horrorem? Jak żyć ze świadomością, że inni będą mnie osądzać?

Jakkolwiek jednak być miało, czwartego dnia powiedział mi to, czego nie chciałam usłyszeć: następnego ranka wyjeżdżał na front. Przewidywałam wszystko co najgorsze. Z jego odejściem cały mój świat miał się zawalić. Po co w takiej sytuacji próbować się stąd wydostać?

Franz umówił się ze mną w kawiarni du Louvre w Paryżu, pierwszego siódmego maja po zakończeniu wojny - w rocznicę naszej pierwszej rozmowy w obozie. „Doskonale zrozumiałem, jeżeli pani nie przyjdzie. Pani życie i moje to dwa bieguny. Ale rozmowy z panią były dla mnie prawdziwą przyjemnością. Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej. Życzę pani powodzenia, niech pani dalej walczy, bo to jedyny sposób na to, żeby przeżyć”.

Przeżyć? Ale jak? Od kiedy zaczęliśmy rozmawiać, Franz był jedynym źródłem mojej motywacji, jedynym powodem, dla którego trwałam. Dzięki

niemu udawało mi się zapominać o cierpieniu i piekle, w jakim żyłam.

Przez kilka następnych dni byłam bardzo smutna. Koleżanki próbowały mnie zagadywać, ale na próżno - zamknęłam się w sobie. W końcu jednak ból zaczął ustępować. Oczywiście nie było łatwo: często miewałam niespokojne sny, niekiedy ogarniała mnie melancholia. Lecz któregoś ranka obudziłam się z niezłomną wolą, że wyjdę z obozu żywa. I ta myśl stała się dla mnie jedyną racją bytu.

Franz natomiast stał się najpiękniejszym wspomnieniem z tych mrocznych lat. Dziękuję ci, Franz!

WYZWOLENIE

Dwa ostatnie lata niewoli były szczególnie trudne. Stałyśmy się żywymi trupami, jak zombi. Chodziłyśmy, bo trzeba było chodzić, jadłyśmy, bo trzeba było jeść. Można powiedzieć, że już nie istniałyśmy, że nasze cielesne powłoki były w środku całkowicie puste. Byłyśmy obojętne na los tych wszystkich dziewczyn, które wokół nas umierały z niedożywienia, wyczerpania czy po prostu ze zniechęcenia, i było to nie do przyjęcia.

Mathilde stale powtarzała nam, że nie powinnyśmy się poddawać. Co wieczór nas motywowała: „No przecież nie po to wszystko to przeżyłyśmy, żeby teraz umierać. Dziewczyny, otrząśnijcie się. Wiem, że to trudne, ale musimy stąd wyjść żywe”. Często za przykład podawała nam Irenę, która z pewnością już dawno by umarła, gdyby nie przebywała razem z nami. „Nie mówcie mi, że nie chcecie doczekać tego dnia, kiedy wyjdziemy na

zewnątrz dumne z tego, że przeciwstawiłyśmy się samemu diabłu".

Oczywiście pragnęłyśmy tego. Ale problem polegał na tym, że kiedy już nie ma najmniejszej iskierki nadziei, człowiek zastanawia się, po co ma przetrwać... I wtedy śmierć przestaje przerażać.

Mathilde jednak zawsze udawało się rozpalić w nas jakiś płomyk. „Nie zauważyłyście, że pilnujący nas strażnicy są coraz starsi? To oznacza, że Niemcy stracili wielu żołnierzy i istnieją duże szanse na to, że wojnę przegrają. Nie traćcie nadziei, niebawem to wszystko się skończy".

Mnie te dwa ostatnie lata pomogła przeżyć pamięć o Franzu. Kiedy tylko mogłam, szukałam schronienia we wspomnieniach. Zbudowałam wokół siebie nawet cały wyobrażony świat. Wymyślałam przyjemne scenariusze, w których Franz był zawsze obok mnie. Moja wyobraźnia w tym względzie nie miała granic. Co wieczór na suficie naszej sali oglądałam film o naszym życiu. Najpierw pobraliśmy się w jego miasteczku, a ślubną suknię oczywiście uszyłam sobie sama. Potem dużo podróżowaliśmy, jeżdżąc między naszymi dwoma krajami. Po pewnym czasie Franz zdecydował, że zamieszkamy w Quebecu. Nasz biały dom nie był zbyt duży i stał u stóp góry, żeby Franz czuł się jak u siebie. Byliśmy w sobie bardzo zakochani. Po kilku miesiącach w marzeniach ze spokojem weszłam

z nim do naszej sypialni. Na samym początku nie było to łatwe. Podczas nocy poślubnej czułam się wręcz nieswojo. Ale Franz bardzo mocno tulił mnie w ramionach i delikatnie zaczął ze mnie zdejmować wszystkie ubrania.

Jego pocałunki sprawiały mi rozkosz, dostawałam od nich dreszczy. W końcu i ja zaczęłam go pieścić. Te moje wyobrażane pieszczoty, mogące trwać całymi godzinami, koncentrowały się na jego klatce piersiowej, szyi i plecach. Nie miałam żadnego pojęcia o anatomii mężczyzny od pasa do kolan, nikt nigdy nic mi na ten temat nie powiedział. Ani o tym, co dzieje się potem między mężczyzną i kobietą. Te piękne sekretne chwile mojego urojonego życia z Franzem pomogły mi przetrwać koszmar rzeczywistości, w jakiej żyłam.

*

Ostatni rok naszego uwięzienia wydawał się wiecznością, a ostatnich sześć miesięcy trwało dłużej niż poprzednie trzy i pół roku. Choć czasami atmosfera w obozie ni stąd, ni zowąd się zmieniała, tak że można było prawie uwierzyć, że nasz koszmar wkrótce się skończy.

W naszym budynku żyło jeszcze około stu kobiet, w fabryce coraz częściej zdarzały się awarie, a pilnujący nas żołnierze byli kombatantami

pierwszej wojny światowej. Zaczęliśmy się więc przeciwstawiać władzom, bo coraz mniej się ich bałyśmy. Zamiast iść do pracy, przez całe dni siedziałyśmy na siennikach i rozmawiałyśmy. Od naszego przyjazdu do obozu słoma nie została wymieniona w nich ani razu, więc jej zapach był nie do zniesienia, ale my - chyba można tak powiedzieć - miałyśmy sparaliżowany zmysł węchu. Wszędzie panował obrzydliwy smród i pewnie się do tego przyzwyczaiłyśmy.

Sto pozostających przy życiu dziewczyn pilnowało już tylko trzech strażników. Któregoś dnia, gdy jeden z nich zaczął bić załamana więźniarkę za to, że nie chciała wstać, wszystkie, tupiąc i uderzając dłońmi w pięści, przysunęłyśmy się w zwartym szyku w ich kierunku. Wycofali się wystraszeni. Byłyśmy dumne z tego, że stawiłyśmy im czoło i pokazałyśmy, że od tej pory nie pozwolimy na rzeczy niedopuszczalne. Ponownie stałyśmy się ludźmi.

Długie godziny spędzałyśmy na rozmowach o tym, co zrobimy po wyzwoleniu, jeśli będziemy miały szczęście wyjść z tego obozu. Simone oczywiście chciała odnaleźć swojego Leona. Przysięgała, że jeżeli uda jej się wrócić do życia sprzed wojny, nigdy na nic nie będzie narzekała i zawsze będzie zadowolona. Przede wszystkim zaś obiecywała, że tak często, jak to tylko będzie możliwe, będzie popełniała grzechy cielesne i nieumiarkowania

w jedzeniu i piciu. „Do diabła z rajem! Po co mi on na starość?!” - kończyła. Mathilde też chciała wrócić do dawnego życia i tak jak Simone obiecywała sobie, że popróbuje wszystkiego: upajającymi perfumami pobudzi swój zmysł węchu, będzie elegancka do granic możliwości i znajdzie mężczyznę, z którym będzie dzieliła resztę dni.

Jedynym pragnieniem Ireny zaś było ujść z tego piekła, którego z powodu numeru na ramieniu nigdy nie zapomni. Chciała wrócić do Polski, odnaleźć mamę i siostrę, upewnić się, że są zdrowe. Mówiła też, że bardzo się boi tego, co tam zastanie.

A ja, Armande, czego chciałam? Pierwszą rzeczą, jaka przychodziła mi do głowy, była kąpiel. W kwestii zaś reszty mojego życia byłam kompletnie zdezorientowana. Nie za bardzo chciałam być zakonnica. Po tych wszystkich umartwieniach przede wszystkim pragnęłam wolności, we wszystkich jej formach.

Nasze życzenia miały się spełnić...

*

Od trzech dni nikt nas nie pilnował. Nie dostawaliśmy też nic do jedzenia i nie wiedziałyśmy, co mamy robić. Ale gdybyśmy na tę sytuację nie zareagowały, na pewno byśmy umarły w tej brudnej norze.

Mathilde wraz z drugą silną dziewczyną postanowiła przekonać nas, że musimy wyjść na zewnątrz i zobaczyć, co się dzieje. Oczywiście nie było wśród nas jednomyślności. Jedne dziewczyny mówiły, że może wojna się skończyła, dlatego strażnicy zniknęli, inne były przekonane, że Niemcy lada chwila wrócą, a jeżeli podejmiemy jakąkolwiek próbę wyjścia, spotkają nas za to represje. Wiele z nas myślało, a wśród nich byłam i ja, że to pułapka i kiedy będziemy już na górze, wszystkie zostaną rozstrzelane. Mathilde jednak posłużyła się kontrargumentem nie do podważenia: jeżeli będziemy biernie czekać, to i tak umrzemy.

Niewątpliwie miała rację. Opracowała zatem plan: zarządziła, byśmy trzymały się za ręce i szły wzdłuż ściany, pokonując schody gęsiego. Kiedy zobaczymy światło dzienne, podniesiemy ręce, żeby do nas nie strzelano. Mathilde otwierała ten pochód, a energiczna zwolenniczka jej pomysłu go zamykała.

Nigdy w życiu tak mocno nie drżałam. Uczepiłam się ramienia Simone jak dziecko, które nie chce wyjść na zewnątrz. A Simone ciągnęła mnie po schodach. Miałyśmy do pokonania około stu stopni, ale wszystkim się wydawało, że to nigdy się nie skończy. Niektóre dziewczyny tak bardzo się bały, że na schodach oddawały mocz, większość głośno się modliła. Ja wzywałam Boga

i Matkę Boską tak donośnym głosem, którego u siebie jeszcze nigdy nie słyszałam. Wszystkie moje dotychczasowe prośby z tą jedną nie miały absolutnie nic wspólnego!

Na widok światła dziennego zrobiłyśmy dokładnie to, co Mathilde kazała. Oślepione jasnością podniosłyśmy ręce do nieba jak najwyżej, żeby mieć pewność, że zostaniemy zauważone. Kiedy moja stopa dotknęła ostatniego stopnia, światło stało się tak mocne, że zamknęłam oczy. Poczułam wreszcie wiatr na skórze. Płuca napełniły się świeżym powietrzem i usłyszałam piekielny hałas dobiegający z nieba.

Myślałam, że to Niemcy chcą nas zabić. Spojrzałam w górę i zobaczyłam helikoptery. Nigdy przedtem nie widziałam takich maszyn. Na ich spodzie można było dostrzec czerwone krzyże. Jedna z dziewczyn zaczęła krzyczeć: „Jesteśmy uratowane! To Czerwony Krzyż!”. A kiedy zrozumiałam, że ktoś inny zajmie się moim życiem, moje ciało natychmiast zwiotczało. Jakby wszystkie jego części, które do tej pory tak wiele zniosły, zaczynały teraz krzyczeć o swoim cierpieniu. Poddałam się. Nie byłam w stanie dalej tego wytrzymać. Zdażyłam jeszcze tylko pomyśleć, że to najpiękniejszy dzień w moim życiu, a potem zemdlałam.

Był to 11 kwietnia 1945 roku.

Obudziłam się w szpitalu, w Paryżu. Dowiedziałam się, że przewieziono nas pociągiem, ale tym razem już nie w wagonach bydłowych. Podróż odbyłam, leżąc na noszach.

Szpitalna sala była ogromna. Około dwudziestu dziewcząt leżało na metalowych łózkach, jak w zakonie. Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła, była biel i czystość panująca w pomieszczeniu. W trzech obozach, do jakich trafiłam, widziałam tylko kolor szary i nadzwyczajny brud. Poczulałam zapach świeżej pościeli i natychmiast przypomniał mi się zapach panujący w pralni. Rozpłakałam się mimo woli, a kiedy zauważyłam kontrast między białą poszwą a czarnym kolorem mojej skóry, łzy polały się jeszcze mocniej.

Żeby mojej skórze przywrócić właściwy kolor, a przede wszystkim usunąć z niej brud, który wniknął w nią przez cztery lata, prawie przez cały rok pielęgniarki codziennie przygotowywały mi kąpiele siarkowe, zapobiegające również szerzeniu się infekcji. Woda po moich pierwszych kąpielach miała wyjątkowo obrzydliwy zapach, zdecydowanie gorszy od smrodu siarki przypominającego zgniłe jaja. Nie byłam w stanie go znieść i kilka razy straciłam przytomność. Trzeba było miesięcy tej kuracji, zanim pojawiły się pierwsze efekty. Miałyśmy

też prawo do kąpieli bez siarki i były to dla mnie chwile największego szczęścia.

Pierwszego dnia chciałam odnaleźć koleżanki z siennika, ale w mojej sali leżała tylko Simone. Dowiedziałam się, że Mathilde i Irena zostały umieszczone gdzie indziej. Ucieszyłam się na widok Simone. Pielęgniarki opowiedziały mi, że przez całą podróż była przytomna i stale mnie pilnowała. Dlatego też personel szpitala zdecydował, żeby leżała obok mnie.

Teraz ja patrzyłam na nią, jak śpi i nabieTa sił, i przepełniało mnie prawdziwe szczęście. Simone, podobnie jak ja, spała prawie cały tydzień. Ja zapadałam w drzemki o każdej porze dnia i na początku pielęgniarki często znajdowały nas rano na podłodze, przykryte kołdrą. Do komfortu łóżka musiałyśmy się przyzwyczajać stopniowo. Musiałyśmy też nauczyć się normalnie jeść, zaczynając od małych porcji rosołu i ciepłego mleka. Po wyzwoleniu wielu więźniów zmarło tylko dlatego, że zbyt szybko nakłaniano ich do normalnych posiłków - zmaltretowany żołądek nie był w stanie tego wytrzymać.

Przed aresztowaniem ważyłam mniej więcej sześćdziesiąt kilogramów. Kiedy pielęgniarki postawiły mnie na wadze, pokazywała czterdzieści pięć. Zapragnęłam obejrzeć się w lustrze. Wielka niespodzianka: nie tylko się nie poznałam, ale jeszcze stwierdziłam, że oczy zapadły mi się w głęb

czaszki. Przestraszyłam się tego widoku. Pielęgniarki zaczęły więc mnie uspokajać, że za kilka miesięcy moja twarz będzie taka jak dawniej.

Apetyt powoli mi wracał, ale po przeżyciu takiego piekła nie miałam ochoty umrzeć z przejedzenia. Stawiałam sobie również wiele pytań na temat mojej przyszłości, przede wszystkim jednak postanowiłam odpocząć.

Okazało się, że musiałam stawić czoło rzeczywistości wcześniej, niż planowałam. Kilka dni po przyjęciu nas do szpitala personel miał obowiązek ustalić naszą tożsamość. Pytano więc nas o nazwiska i miejsca zamieszkania przed wojną. Miałyśmy też podać nazwiska osób, z którymi należało się skontaktować w celu przekazania informacji o tym, że żyjemy. Powiadomiono zatem kongregację, że przebywam w hotelu Lutetia, z powodu wielkiej liczby chorych przekształconym tymczasowo w szpital. Kilka tygodni później przyjechała do mnie z wizytą zakonnica ze wspólnoty w Bretanii. Na jej widok zmieniłam się w bryłę lodu - pewnie dlatego, że nie za bardzo ją znałam. Ale jeżeli mam być zupełnie szczerą, nie chciałam z nią rozmawiać o mojej wierze. Jeszcze większy chłód poczułam, gdy poinformowała mnie, że zanim wspólnota ponownie mnie przyjmie, potrzebuje kompletnego świadectwa zdrowia z zaświadczeniem, że nadal jestem dziewicą. Uważałam, że to

niehumanitarne - wysłać do mnie w takich okolicznościach kogoś, kto mi oznajmi, że moja przyszłość może być zagrożona. Nikt we wspólnocie nie zastanowił się nad moją sytuacją i miałam wrażenie, że rodzina opuszcza mnie po raz drugi. Długo płakałam.

Niedługo po tych odwiedzinach dostałam z klasztoru paczkę z moimi rzeczami osobistymi: ubraniami, książeczką do nabożeństwa, świętymi obrazkami i paszportem - a także list, w którym poinformowano mnie, że nie mogę wrócić. Mimo dostarczonego dowodu mojego dziewictwa zakonnice były przekonane, że podczas internowania Niemiecycy żołnierze wykorzystali mnie seksualnie. Byłam zatem nieczysta i powinnam zrezygnować z życia oblubienicy Pana. Wysłały już zresztą do Rzymu list z prośbą o zwolnienie mnie ze złożonych ślubów.

Ta decyzja oznaczała, że od tej chwili musiał się mną zaopiekować Czerwony Krzyż, bo przecież w Europie nie miałam się gdzie podziąć. Czekająca mnie zatem repatriacja do Quebecu. Czułam upokorzenie i wściekłość. Tego dnia straciłam wiarę w religię katolicką i nigdy już jej nie odzyskałam. Nadal wierzyłam w Boga i Matkę Boską, ale nigdy nie postawiłam nogi w żadnym kościele, z wyjątkiem takich okazji jak śluby czy pogrzeby. Kościół katolicki potraktował mnie jak zbrodniarza wojennego i wykluczył ze wspólnoty za to, że w niemieckich

więzieniach spędziłam cztery lata tylko dlatego, że w nieodpowiedniej chwili znalazłam się w nieodpowiednim miejscu. Nie posiadałam się z oburzenia.

Jedyną rzeczą, w jaką chciałam jeszcze w tym momencie wierzyć, była nasza solidarność, solidarność dziewcząt, z którymi przetrwałam te lata grozy. One zrobiły dla ludzkości więcej niż to, co ja mogłabym zrobić, będąc zakonnica. Nie potrzebowały ślubów, żeby dać dowód dobrej woli i poświęcić się dla bliźniego. Dzięki nim przeżyłam. Od tej pory tylko w taką wspólnotę zamierzałam się angażować.

Musiało minąć kilka tygodni, żebym w końcu się uspokoiła, choć nigdy nie zapomniałam o upokorzeniu, jakie mnie spotkało. Zastanowiłam się nad moją nową sytuacją i doszłam do wniosku, że w sumie byłam zadowolona z takiego obrotu sprawy. Nareszcie wrócę do Kanady. Zapytałam pracowników Czerwonego Krzyża, czy mogliby odnaleźć w Quebecu moich braci. Po kilku tygodniach udało im się odszukać adres Rosaire'a i wysłać telegram z wiadomością, że żyję.

Chciałam dokonać zmian w moim życiu, wolna od dotychczasowych zobowiązań. Koniec z ograniczeniami, koniec z odosobnieniem! Postanowiłam ubierać się tak, jak chcę, jeść to, na co mam ochotę, smakować życie i cieszyć się nim, tym moim nowym życiem, które przecież będzie czymś

wspaniałym. Kiedy zobaczyłam pierwsze po latach spotkanie Leona ze swoją Simone, już dokładnie wiedziałam, czego chcę zaznać. Tak pięknie obydwójce wyglądali, gdy przytuleni tonęli we łzach. Nie potrafię nawet powiedzieć, jak długo trwał ich uścisk. Ja też chciałam kochać i być kochana.

Przez moment pomyślałam o spotkaniu, jakie Franz wyznaczył na siódmy maja w Paryżu. Ale wycarterowano już statek, który miał repatriować obywateli Kanady. Wyjazd przewidziano na marzec 1946 roku. Wiedziałam, że nigdy nie będę miała pieniędzy na powrót do Europy.

Simone dała mi swój adres w Bretanii. I jako że ona mogła mieć więcej okazji przyjazdu do Quebecu niż ja do Europy, obiecałam jej, że zaraz po przybiciu do brzegu napiszę do niej. Ku naszemu wielkiemu zadowoleniu w innym skrzydle hotelu-szpitala odnalazłyśmy Mathilde i spędziłyśmy wiele dni na rozmowach. Podziękowałyśmy jej z całego serca za to, co dla nas zrobiła. A ponieważ opowiedziała nam trochę o usługach, jakie świadczyła w zamian za przywileje, z których my korzystałyśmy, czułyśmy, że nasze podziękowania wyglądały bardzo blado.

W końcu pożegnałam się z Simone i Mathilde, zapewniając je, że w moim sercu zawsze będą zajmowały ważne miejsce. Ale już nigdy żadna z nas nie spotkała Ireny.

POWRÓT

4 marca 1946 roku, w wieku prawie trzydziestu czterech lat, wsiadłam na pokład statku Czerwonego Krzyża, którym miałam wrócić do Quebecu. Gdybym nie skorzystała z tej okazji, musiałabym wiele lat pracować na to, by uzbierać pieniądze na bilet. Za umożliwienie mi wyjazdu byłam tej organizacji bardzo wdzięczna.

Rejs trwał siedem dni. W środku tygodnia rozszalała się burza i bardzo się bałam. Nad pokładem przelewały się wysokie fale, statek z każdej strony trzeszczał, a prawie wszyscy pasażerowie chorowali. Ja też często wymiotowałam z powodu panującego wszędzie obrzydliwego smrodu wymieszanego z wyraźnym zapachem mazutu. Można było odnieść wrażenie, że morze chce nas połknąć; statek wydawał się lekki jak muszelka. Trzy dni spędziliśmy zamknięci w kabinach w oczekiwaniu na powrót ładnej pogody.

Sporą część pasażerów stanowiły osoby internowane w obozach pracy i uwolnione w tym samym czasie co ja. Rozpoznawaliśmy się bez trudu, wcale o to nie pytając. Jakbyśmy nadal na ciałach nosili ślady brudu i wszystkich upokorzeń.

Przez dziwny zbieg okoliczności zamieszkałam w kabinie razem z czterema kobietami, których obecność dawała mi takie samo poczucie bezpieczeństwa jak dziewczyn w obozie. Byłyśmy wszystkie mniej więcej w tym samym wieku. Dwie wcześniej pracowały jako pielęgniarki Czerwonego Krzyża. Jedna miała za sobą doświadczenia podobne do moich. Bardzo szybko zaprzyjaźniłam się z Gabrielle, którą nazywałam Gaby. Była ruda jak jesienne liście, z małymi piegami na twarzy. Wyglądała na kobietę niezależną, ale przede wszystkim przebojową, która posiada wszystkie zalety potrzebne do tego, żeby dać sobie radę w życiu.

W ostatnich dniach rejsu Gaby, która nic nie wiedziała o mojej przeszłości ani o tym, że byłam zakonnica - już wtedy wstydziłam się do tego przyznać - opowiedziała mi historie, od jakich włosy stawały mi dęba na głowie. Wykraczały one poza podstawową edukację seksualną, którą i tak moim niewinnym uszom byłoby trudno znieść. Słuchając jej, myślałam o tym, co Mathilde musiała dla nas wszystkich znosić. Wszystkie te informacje kiedyś

mi się przydadzą, mówiłam sobie, bo wcześniej czy później wpadnę prosto w paszczę lwa, którego w tak dużym mieście jak Montreal nieuchronnie spotkam.

Pod koniec podróży Gaby dała mi numer telefonu swojej mamy, u której przez jakiś czas miała się zatrzymać. Zaproponowała też, żebyśmy razem wynajmowały pokój, kiedy już znajdę pracę. Zgodziłam się na to z entuzjazmem. Pomyślałam, że w tej miejskiej dżungli Gaby z pewnością pomoże mi przeżyć. Bo do tej pory na swojej drodze spotykałam tylko takie osoby, które pomagały mi posuwać się naprzód. Myślę tu o siostrze Marguerite, siostrze Adolphine i o trzech dziewczynach z obozu. Kim stałabym się bez nich?

Tym razem nie byłam tak podekscytowana jak podczas mojej podróży do Europy. Trzeba przyznać, że w tym czasie mocno się zmieniłam. Moje uczucia były bardziej zagmatwane, dźwigałam ciężar ponad czterech lat więziennych doświadczeń, ale przede wszystkim byłam gorzko rozczarowana odrzuceniem mnie przez kongregację.

Niemniej to rozczarowanie miało swoją przeciwwagę. Jak szalona pragnęłam w pełni wykorzystać każdą chwilę mojego nowego życia. Miałam odnaleźć braci, których niemal nie znałam, i to - muszę przyznać - nieco mnie niepokoiło. Czy Rosaire ucieszy się na mój widok? Zechce przyjąć mnie

do siebie do czasu, aż znajdę pracę i zorganizuję sobie mieszkanie? W małej walizce podarowanej mi przez Czerwony Krzyż miałam jeszcze ubrania zakonne. Nie chciałam się ich pozbywać, zanim nie nadejdzie list z Rzymu, który miał potwierdzić, że jestem znów osobą świecką, to znaczy wolną, samodzielną i przede wszystkim bardzo samotną, a także bez dachu nad głową.

Statek przybił do brzegu w Nowym Jorku 11 marca 1946 roku.

Gaby towarzyszyła mi w podróży pociągiem do Montrealu i na miejscu pomogła znaleźć mieszkanie Rosaire'a.

Brat razem z żoną Yvette mieszkał w malutkim mieszkanku przy ulicy Sainte-Elisabeth. Pukając do ich drzwi, byłam bardzo wzruszona. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób mnie przyjmą. Kiedy po raz ostatni widziałam Rosaire'a, miał cztery lata. Poznam go? Ale kiedy tylko otworzył drzwi, natychmiast poczuliśmy się sobie bliscy. Zanim mogliśmy zacząć rozmawiać, długo płakaliśmy. W jego objęciach poczułam pewność, że już nigdy nic nas nie rozdzieli. Opanowała mnie ogromna radość. Obejmowały mnie ramiona osoby, w której krążyła ta sama krew, która miała tych samych rodziców, ramiona brata, z którym łączyła mnie przeszłość.

Rosaire nie pamiętał swojego dzieciństwa, ale przeżyliśmy te same dramaty, wachaliśmy te same

zapachy, mieszkaliśmy w tym samym domu. Wspominanie z nim tych szczegółów przyniosło mi wielką ulgę. Nie przestawałam na niego patrzeć. Jego rysy twarzy wydawały mi się znajome, uważałam nawet, że jest przystojny. Między nami były zaledwie dwa lata różnicy, ale ja odczuwałam potrzebę opiekania się nim. Pomyślałam, że wreszcie spotkałam kogoś, kto będzie mnie potrzebował. W moim sercu i umyśle Rosaire nadal był czterolatkiem.

Opowiedział mi swoje życie, od chwili kiedy zostaliśmy rozłączeni, aż do wybuchu wojny, w której brał udział w Europie. Kiedy w okopach odpierał trwający wiele dni atak, zachorował na zapalenie płuc i został odesłany do Kanady. Powiedział mi, że któregoś dnia w audycji radiowej podawano listę osób zmarłych i usłyszał moje nazwisko. Rozpłakał się i zamówił za mnie mszę. Zapewniłam go, że ta msza z pewnością pomogła mi przeżyć. Zapytałam też, czy wie coś o Louisie-Georges'u, który miał zaledwie sześć miesięcy, kiedy nas rozdzielono. Już od bardzo dawna nie miał od niego nowin. Szkoda, chciałabym go zobaczyć.

Opowiedziałam bratu i jego żonie o sobie prawie wszystko - o pobycie w klasztorze, życiu zakonnym, latach niewoli i opuszczeniu wspólnoty, ale przemilczałam historię z Franzem. Teraz, kiedy wojna już się skończyła, wstydziłam się tego. I to w dwójnasób, bo Rosaire narażał swoje życie,

walcząc z nazistami. Pokazałam im strój zakonny i powiedziałam, że czekam na list z Rzymu, żeby się go pozbyć. Dodałam też, że podczas pobytu w klasztorze nauczyłam się zawodu krawcowej i miałam zamiar poszukać pracy w tej właśnie branży. Yvette i Rosaire od razu się zgodzili, żebym do czasu usamodzielnienia zamieszkała z nimi.

Po wojnie trzeba było wszystko odbudować. Gospodarka ruszała całą parą i nie musiałam długo szukać zajęcia. Już trzy dni po przyjeździe do Montrealu znalazłam zatrudnienie w zakładach produkujących męskie ubrania. Miałam szyć kieszenie do spodni. Nie był to rodzaj krawiectwa, jakim chciałam się zajmować, ale trzeba było coś jeść.

Zatelefonowałam do Gaby, żeby jej powiedzieć, że mam pracę i za miesiąc będę mogła dzielić z nią koszty mieszkania, które ona już zajęła przy ulicy Beaudry. Było to miejsce idealne, niedaleko lokum brata, dwa kroki od ulicy Sainte-Catherine. Mieszkanie miało bardzo duże okna i dzięki temu było jasne, a ja ogromnie potrzebowałam światła, jak gdybym chciała nadrobić te wszystkie lata spędzone w ciemnościach.

Gaby od wielu lat gromadziła wyprawę panny młodej, ale ponieważ nadal była osobą samotną, postanowiła z w końcu z niej skorzystać. Poza tym pensja pielęgniarki jej wystarczała i niczego jej nie brakowało. Ja natomiast, jeśli tylko mogłam,

odkładałam parę groszy, żeby kupić kiedyś maszynę do szycia i różne tkaniny. W dni wolne od pracy zabawiałam się szyciem sukienek, od początku do końca wykonywanych ręcznie. Gaby zachęcała mnie do tego. Mówiła, że mam talent i powinnam w ten sposób zarabiać na życie. Dobrze, że przynajmniej nie musiałyśmy martwić się o meble, bo mama Gaby odstąpiła nam własne.

Zgodnie z daną sobie obietnicą bardzo intensywnie przeżywałam każdy dzień. Co czwartek z mizernym zarobkiem w kieszeni szłam do cukierni Kresge przy ulicy Sainte-Catherine i wbijając zęby w ciastko francuskie z kremem, myślałam o obozie, a przede wszystkim o Simone. Zamykałam oczy i krzyczałam do niej w środku z całych sił, żeby usłyszała mnie w tej swojej Bretanii: „Za twoje zdrowie, ty mój aniele stróżu! Za to, że przeżyliśmy!”. A kiedy kupowałam jakiś wykrój, żeby uszyć elegancką suknię, myślałam o Mathilde. Nawet przechrzciałam jeden ze ściegów i nazwałam go jej imieniem, bo był dyskretny, ale niezwykle trwałe. Codzienną pracą czciłam więc pamięć o kobietach, które tak dużo dla mnie zrobiły. Jeżeli zaś chodzi o Irenę, to do samego końca codziennie modliłam się o to, żeby żyła i doznała szczęścia.

Siódmego maja 1946 roku nie przestawałam myśleć o Franzu. Czy wrócił cało z frontu? Przyszedł na umówione spotkanie? Nie wydawało mi się,

żeby Niemcy w tym czasie byli w Paryżu dobrze widziani. Kilka miesięcy po powrocie do Kanady dostałam list z Rzymu, w którym zostałam zwolniona ze złożonych ślubów. Oficjalnie stałam się więc osobą wolną, jak wszyscy inni ludzie. Natychmiast zniszczyłam habit, a wszystkie ślady mojego dawnego życia schowałam w kufrze zamykanym na klucz.

Pierwsze tygodnie swobody przeżyłam jako okres buntu. Miałam ochotę robić wszystko to, co wcześniej było mi zabronione. Musiałam zagrać na nosie posłuszeństwu, którym przez te wszystkie lata się wykazywałam. W ostatecznym rozrachunku tak naprawdę do niczego mi się przecież nie przydało.

Gaby, ten rudy demon, mocno mi wtedy sekundowała. Zaczęło się od wychodzenia w weekendy do nocnych klubów, w których można było obejrzeć różne spektakle, ale skorzystać także z okazji do poznawania ludzi. Bardzo polubiłam to nocne życie, ale to nie w tych kabaretach spotkałam najpiękniejszy w moim życiu prezent.

Pewnego wieczoru Gaby przyprowadziła do domu mężczyznę o imieniu Maurice. Kilkakrotnie spotkała go w szpitalu, gdzie odwiedzał siostrę, i po prostu oszalała na jego punkcie. Byłam przekonana, że w jej określeniu „jest piękny jak bóg” z pewnością jest dużo przesady, ale kiedy go zobaczyłam,

uznałam, że to wyrażenie jest stanowczo za słabe. Maurice z powodzeniem mógł grać w filmach. Sta-
nęły przede mną niemal dwa metry żywej elegan-
cji! Miał świeżo ostrzyżone czarne włosy, niepraw-
dopodobnie roześmiane brązowe oczy i dłonie,
w których natychmiast się zakochałam, z powodu
ich szerokości i naturalności. Był ubrany w ciemno-
szary garnitur i buty tak lśniące, że nawet można
było je uznać za zbyt mocno wypolerowane. Ale
jego ostateczną bronią był uśmiech. Nie mogłam
przestać na niego patrzeć. Cieszyło mnie, że Gaby
spotkała takiego mężczyznę, ale już byłam o niego
zazdrosna. Ja nie miałam szansy poznać nikogo ta-
kiego w pracy.

Wszyscy troje dużo rozmawialiśmy, a tuż przed
wyjściem, czego nawet nie zauważyłyśmy, Mau-
rice zapisał nasz numer telefonu. Kiedy następnego
dnia wieczorem podniosłam słuchawkę, poznałam
jego głos i powiedziałam, że Gaby nie ma w domu,
została w szpitalu kilka godzin dłużej. „Ale ja nie
chcę rozmawiać z nią, tylko z panią”, usłyszałam.
Zwróciłam mu uwagę, że Gaby będzie na mnie
wściekła, jeżeli się z nim umówię. W odpowiedzi
stwierdził: „Gaby mnie nie interesuje. Jest miła, ale
to panią chciałbym poznać bliżej”.

Przyjęłam jego zaproszenie. Rozmawialiśmy
przez cały wieczór. Miał dwadzieścia cztery la-
ta i mieszkał jeszcze z rodzicami. Właśnie dostał

pracę w magazynie artykułów sportowych. I długo czekał na ten moment, żeby się usamodzielnić. Z powodu terminu poboru późno odbył służbę wojskową. Na szczęście nie zdażył uczestniczyć w walkach. Jego brat Robert miał mniej szczęścia. Zginął na polu bitwy we Włoszech w wieku zaledwie dwudziestu jeden lat i osierocił dwoje dzieci. Rodzice bardzo boleśnie przeżywali żałobę. Ja też opowiedziałam mu nieco o sobie i moja historia go oczarowała, chociaż nie wszystko ujawniłam. Pominęłam na przykład lata spędzone w zakonie czy uczucie do Franza. Zresztą ten epizod mojego życia na zawsze pozostał tajemnicą.

Maurice wykreślił Gaby ze swojej świadomości i spotykaliśmy się po kryjomu. W dniu, w którym Gaby odkryła spisek, oszalała ze złości. Po powrocie z pracy zobaczyłam, że moje osobiste rzeczy wystawiła na balkon, a drzwi mieszkania zamknęła na dwa zamki. Nie mogłam wejść. Na walizce znalazłam liścik: *Piękna przyjaźń!*

Czułam się wyjątkowo podle. Najlepsza przyjaciółka przeze mnie była zdruzgotana, chociaż Maurice uprzedził ją, że ich relacje nie mają przyszłości. Ale próby jakiegokolwiek tłumaczenia nie miały sensu - była na mnie zbyt mocno rozgniewana. Wezwałam taksówkę i z całym tym majdanem przeniosłam się do brata, na czas dopóki nie znajdę nowego mieszkania. Tydzień później

przeprowadziłam się do dwupokojowego umeblowanego mieszkania w dzielnicy Rosemont. Maurice w ciągu tygodnia zamieszkał ze mną; w weekendy odwiedzał rodziców. Przekonał ich, że ze względu na jego pracę lepiej by było, gdyby wynajmował pokój w mieście. Dojazd tramwajem do pracy z Cartierville zajmował mu rano ponad godzinę. Podobnie było wieczorem. Kiedy jednak rodzina dowiedziała się, że mieszkamy razem, zostaliśmy parą wyklętą. Przeżyliśmy tak osiem lat. W roku 1954 postanowiliśmy wziąć ślub. Łączyła nas już wtedy piękna zażyłość. Można powiedzieć, że życie na marginesie społeczeństwa wzmocniło nasze uczucia. Jednoczyła nas też doskonała harmonia seksualna, dojrzała i bez zahamowań.

Z perspektywy czasu muszę stwierdzić, że Maurice nie zawsze miał ze mną łatwe życie. Musiał jakoś dawać sobie radę z następstwami mojej przeszłości. Nadal bowiem tkwił we mnie gniew, który był powodem niespodziewanych wybuchów złości. Maurice zaś cały czas się śmiał. Był z gruntu dobry i w życiu widział wiele jasnych stron. Nawet pogoda nie była w stanie popsuć mu humoru. Jeżeli padał deszcz, znajdował zajęcie w domu. Przyznaję, że czasami mnie to irytowało. Sądziłam, niesłusznie, że tak uległy charakter może być oznaką słabości. Jak mogłam wydawać równie absurdalne osady? Długo miałam o to do siebie żal, a przede

wszystkim wtedy, gdy zostały mi już tylko wspomnienia.

*

Maurice często mówił mi o tym, że pragnie mieć dziecko. Niestety nie mogłam ofiarować mu tego szczęścia, bo podczas pobytu w obozie przestałam miesiączkować, co było powodem wielu poważnych powikłań. Byłam zresztą od niego starsza i bałam się, że nie będę miała cierpliwości na wychowywanie dziecka.

W pierwszym roku po naszym ślubie siostra Maurice'a zaszła w ciążę. Nie chciała tego dziecka. Nadal przecież mieszkała z rodzicami, choć miała już trzydzieści dziewięć lat. Poza tym wstydziła się jej tak, jak zdarza się to niedojrzałym nastolatkom. Wiedziała, że ja nie mogę mieć dzieci. Zapytała więc nas, zanim zaczęła szukać odpowiednich ludzi wśród obcych, czy nie zechcielibyśmy jej dziecka adoptować. Myśl o tym bardzo ucieszyła Maurice'a, ale odpowiedział, że musi się zastanowić, i poprosił siostrę, żeby nie podejmowała jeszcze żadnych decyzji. Do niczego mnie nie przymuszał. Widząc jednak jego radość, natychmiast postanowiłam dać mu szansę zostania ojcem. Oszalał ze szczęścia. Ja też byłam zadowolona, chociaż trochę się bałam. Niemniej po tym

wszystkim, co przeżyłam, ja także pragnęłam mieć własną rodzinę.

Przez cały okres ciąży siostra Maurice'a mieszkała na wsi, żeby zapobiec ludzkim pytaniom i uratować honor rodziny. Maurice i ja zaś przygotowaliśmy się do godnego przyjęcia dziecka. Nasze role potraktowaliśmy bardzo serio. Znaleźliśmy nawet notariusza, który ze świadectwa chrztu miał prawo usunąć określenie „dziecko z nieprawego łoża”, dzięki czemu z aktu urodzenia zniknął wszelki ślad adopcji. Miało to dla nas pierwszorzędne znaczenie.

18 września 1955 roku siostra Maurice'a urodziła piękną dziewczynkę. To byłaś ty, moja Lison! Z niecierpliwością czekaliśmy na twoje przyjście na świat. Często też odwiedzaliśmy twoją mamę w jej wiejskim ukryciu. Jak najszybciej chcieliśmy ujrzeć twoją małą buzię. I kiedy zobaczyliśmy cię po raz pierwszy, stwierdziłam, że jesteś podobna do Maurice[^]. To właśnie w tym podobieństwie dostrzegłam szansę na to, że będziesz uważana za dziecko prawowite. Miałaś jego oczy i byłaś stale uśmiechnięta - jak on.

Maurice absolutnie nie potrafił się powstrzymać i dużo się tobą zajmował. Ciągłe leżał na podłodze, a ty się na nim podpierałaś. Tworzyliście piękną parę. Muszę nawet wyznać, że byłam trochę zazdrosna o ciebie, o to, że poświęcał ci tyle uwagi.

Od twojego przyjazdu myślał tylko o tobie, zajmował się tylko tobą, a ty zawsze byłaś tuż obok niego. Miałam wrażenie, że moje małżeństwo zaraz się rozpadnie. Przed twoim przybyciem cały mój czas dzieliłam tylko z nim. Teraz musiałam dzielić go również z tobą. To z pewnością z powodu lat spędzonych w obozie tak bardzo potrzebowałam uczucia i uwagi. Byłam jak ty. Chciałam, żeby kochał mnie jeszcze mocniej i ciągle trzymał mnie w ramionach. Z przyczyn administracyjnych musiałaś spędzić kilka miesięcy w sierocińcu i z pewnością dlatego też potrzebowałaś podwójnej dawki uczucia. Ale z czasem obie nauczyłyśmy się dzielić naszym mężczyzną.

Kiedy miałaś cztery lata, musiałam pójść do szpitala w celu usunięcia ogromnego włókniaka macicy. Guz był tak ogromny, że sięgał aż do nerek. Było to bezpośrednie następstwo zatrzymania się cyklu miesięczkowego. Chirurg skorzystał z okazji i usunął wszystko, ale na nerkach znalazł komórki nowotworowe. Gdy leżałaś przy mnie na łóżku szpitalnym, zauważyłam, że na korytarzu rozmawia z Maurice'em. Po raz pierwszy zobaczyłam, że Maurice płacze. Zanim do mnie przyszedł, chodził po korytarzu tam i z powrotem. Potem usiadł obok mnie, położył głowę na moim brzuchu i znowu zaczął płakać. „Lekarz powiedział, że jeżeli komórki będą się namnażały z taką prędkością, możesz mieć

przed sobą dwa lata życia" - powiedział to niemal szyfresem, żebyś nie zrozumiała, o co chodzi, i nadal płacząc, dodał: „Nie mogę żyć dłużej niż ty. Nie będę umiał wychować Lison w pojedynkę. Chcę umrzeć przed tobą”.

Codziennie z wielką żarliwością modliliśmy się do Marii Panny. Po sześciu miesiącach badania wykazały, że we krwi nie ma żadnego śladu po chorych komórkach. Była to jedna z tych ważnych wiadomości, które naznaczyły moje życie. Dostałam pięć lat odroczenia bez żadnych dolegliwości. Mówiąc dokładniej, do 18 czerwca 1965 roku. Przeklinałam ten dzień do samej śmierci.

Tego dnia, po raz nie wiadomo który, byłam nadzwyczaj rozdrażniona. Wracałyśmy z zakupów, ty i ja. Pchnęłyśmy drzwi mieszkania, które, o dziwo, były tylko przyknięte. Twój ojciec leżał na podłodze. Ciebie posłałam po pomoc, sama zostałam z Maurice'em. Skropiłam mu twarz zimną wodą i zerwałam z niego koszulę. Bez przerwy wykrzykiwałam jego imię. Miał oczy wywrócone do góry i jęczał. Błagałam go, żeby coś do mnie powiedział. Pomoc nie nadchodziła, a jego skóra nagle zaczęła przybierać niebieski odcień. Już prawie przestał jęczeć. Zrozumiałam, że właśnie go tracę. Trzymałam jego głowę w dłoniach i wzywałam ratunku. Wreszcie ktoś poprosił mnie, żebym się odsunęła. Zgodziłam się i usiadłam w pewnym oddaleniu. Mój

świat ponownie się walił, ale tym razem zwyciężało nieszczęście, a ja już nie miałam siły, żeby z nim walczyć. Całe moje ciało powiedziało: „Dobrze, poddaję się. Oddaję ci zwycięstwo...”. Maurice miał zaledwie czterdzieści trzy lata.

Straciłam wówczas poczucie czasu. Ludzie, którzy próbowali go reanimować, opowiedzieli mi potem, co właściwie zaszło. Złorzeczyłam i podobno tak gwałtownie zaatakowałam Boga, że nie byli w stanie tego słuchać. Jakiś lekarz przepisał mi środki uspokajające, które musiałam przyjmować do pogrzebu. Rozpaczałam do tego stopnia, że przestraszyłam całą rodzinę.

Nafaszerowano mnie pigułkami, więc nic nie pamiętałam z uroczystości żałobnych. Kiedy się nad tym dobrze później zastanowiłam, uznałam, że tak było lepiej. Jediną rzeczą, której żałuję, Lison, jest to, że w okresie największego bólu zapomniałam o tobie. I dziękuję tym, którzy do czasu mojego oprzytomnienia zajęli się tobą.

Po przeżyciu tej trudnej próby stałyśmy się nierozłączne. Wiem, że bałaś się, żebym i ja cię nie zostawiła.

Mam teraz nadzieję, że po przeczytaniu tych zeszytów lepiej zrozumiesz moje zachowania, które czasami mogły ci się wydawać przesadne. W rzeczywistości były to stare rany, które ponownie się otwierały.

Po stokroć dziękuję ci, że przy mnie byłaś. Sprawiałaś, że reszta mojego życia była piękna. Bez ciebie mogła być pusta. Ty i twój ojciec byliście dla mnie najpiękniejszym prezentem. Zawsze będę cię kochała.

Mama

EPILOG

Jeżeli prawdą jest, że dzieci wybierają swoich rodziców, zanim przyjdą na świat, mój pierwszy wybór padłby z całą pewnością na Maurice'a i Armande. To, że podzieliłam się z wami historią życia mojej mamy, pozwoliło mi sporo dowiedzieć się zarówno o niej, jak i o sobie. Dzisiaj więc kocham ją jeszcze mocniej.

Żałuję, że umarła za wcześnie, zanim dzięki pięknemu zawodowi satyryka zaczęłam zarabiać na godne życie. Chciałabym móc chociaż trochę ją porozpieszczać i osłodzić ostatnie dni życia. Niestety umarła w biedzie, bo wówczas ja też miałam problemy finansowe. Po jej śmierci moja kariera zaczęła się rozwijać błyskawicznie. Kto wie, może ze mną była i pomagała mi rozśmieszać publiczność?

Kiedy pisałam tę książkę, wydawało mi się, że czuję jej obecność. Miałam wrażenie, że kładła mi

wtedy swoje dłonie na moich. Pomysł opublikowania tej książki zrodził się w maju 2004 roku, wtedy też zaczęłam zbierać do niej materiały. Chciałam opisać życie mamy, żeby oddać jej cześć, ale także po to, żeby te wszystkie cierpienia, jakich doznała, nie były nadaremne. W głębi serca mam nadzieję, że jej historia was poruszyła. Chciałabym, żebyście znaleźli dla niej trochę współczucia, i w ten sposób sprawili przyjemność jej duszy.

Każdy z nas ma swoją dawkę cierpień do przeżycia, ale poznając jej dzieje, uświadomiłam sobie, że ja takiego dramatu chyba bym nie uniosła. Z całą pewnością opuściłabym ręce znacznie wcześniej. Ale niezwykle ważne jest, aby młodzi ludzie wiedzieli, co rzeczywiście się zdarzyło, i nigdy o tym nie zapomnieli.

Moja mama stała się dla mnie źródłem motywacji, by dobrze zacząć każdy kolejny dzień.

Dziękuję, Armande.

Od córki,
która chciała,
żebyś została nieśmiertelna

PODZIĘKOWANIA

Najpierw podziękowania, które nigdy nie dorównają ani historii, ani tej, która ją przeżyła i przekazała mi w spadku - dla mojej mamy Armande.

Wielkie podziękowania dla Ariane, która razem ze mną podjęła się wielkiego zadania gromadzenia informacji niezbędnych do napisania tej książki.

Podziękowania dla Christiane za to, że pomogła mi tę historię uporządkować.

Ogromne podziękowania dla Chrystine, wielkiej pisarki z Quebecu, za to, że podzieliła się swoją wiedzą ze mną, pisarką amatorką.

Dziękuję Monique za jej wsparcie i pomoc w wygładzeniu tekstu.

Naprawdę specjalne podziękowania dla Valérie, oddanej policjantki, dzięki której przeżyłam jeden z wielkich momentów mojego życia - spotkanie z panią Ireną, Polką i Żydówką, która też doświadczyła tej grozy.

Ogromne podziękowania dla pani Ireny, która opowiedziała mi wstrząsającą historię własnego życia i którą na zawsze zachowam w sercu.

Podziękowania dla siostry Évy Tremblay za wytłumaczenie mi pewnych brakujących w tej historii elementów i rozwiązanie łamigłówek.

Wielkie podziękowania dla pracowników Towarzystwa Historycznego w Saguenay za otwarcie mi drzwi do bogactw mieszczących się w jego archiwach.

Dziękuję wszystkim tym, którzy udostępniają swoje archiwa w Internecie.

Serdeczne podziękowania dla Ève-Marie za przekazanie mi podczas telewizyjnej audycji *Salut Bonjour* dokumentu, który pomógł mi w poszukiwaniach.

Podziękowania tak wielkie jak kula ziemską dla Manon, Yvana i Carole, którzy zajmując się moimi sprawami, sprawili, że moje życie toczyło się również poza pisaniem.

Dziękuję Mado, z którą mamy wspólne korzenie, że mimo humorów Armande została moją przyjaciółką na całe życie.

Potrójne podziękowania dla moich Johanne; dla pierwszej z nich, mojej starej przyjaciółki, za wielkie wsparcie; dla drugiej, mojego anioła w Saguenay, która czasami jest mi w życiu przewodnikiem, bo wie o wielu sprawach wcześniej niż ja;

i wreszcie dla Johanne, która mi zaufała i zmateria-
lizowała moje marzenie. To dzięki niej uczyniłam
życie mamy nieśmiertelnym i teraz mogę trzymać
je w dłoniach, czuć zapach papieru, na którym zo-
stało utrwalone. Nigdy dość podziękowań dla tej,
której opowiedziałam o wszystkich moich słabo-
ściach.

Mojej prawej ręce podczas tej przygody, która
dodawala mi odwagi, towarzyszyła w gromadzeniu
materiałów, w niepewności, zwątpieniu i przede
wszystkim w mojej jaskini zamkniętej przed świa-
tem zewnętrznym. Loraine, wielkie dzięki.

Serdeczne podziękowania dla Jacques'a za to, że
uczynił ze mnie pisarkę mniej amatorską.

Dziękuję Karine, mojej dodatkowej pamięci.

Dla Daniela, który towarzyszy mi we wszystkich
projektach, jest moim entuzjastą, artystycznym fi-
larem, trenerem, agentem, wielkie i szczere podzię-
kowania.

Nieskończenie wielkie podziękowania dla Clau-
die i Hugona, moich dzieci, często bardziej dojrza-
łych niż ja. Jestem z was dumna i ważne dla mnie
jest, żebyście także wy byli dumni ze mnie.

Dziękuję wam, czytelnikom. Możliwość zapo-
znania was z życiem mojej mamy jest dla mnie źró-
dłem prawdziwej radości.